LIBERTÉ!

numer 31/luty 2019

GŁOS WOLNY

KATHARINA SCHULZE ° LESZEK JAŻDŻEWSKI ° MAREK GÓRA
ALICJA MYŚLIWIEC ° BŁAŻEJ LENKOWSKI ° TADEUSZ GADACZ
JAROSŁAW MAKOWSKI ° PIOTR GAJDA ° TOMASZ KASPROWICZ

GŁOS WOLNY

MAGDALENA M. BARAN
Zastępczyni redaktora naczelnego *Liberté!*

W podróże wyruszamy z różnych powodów. Ku niektórym pcha nas ciekawość, potrzeba odkrywania nowych kultur, idei, ludzi, odmiennych sposobów myślenia, odwiedzania miejsc, które z jakiegoś powodu najzwyczajniej nas przyciągają. W podróże wyrusza się często aby przekroczyć to, co już znane, bezpiecznie, oswojone, by poszerzać własne horyzonty, rozwijać wiedzę, realizować pasje. W podróże wyrusza się, gdy chce i potrzebuje się czegoś więcej. Ale i po to, by się zatrzymać, by tak nie pędzić, by odpocząć. W podróże wyrusza się na wiele sposobów. Niektórzy długo się przygotowują. Studiują mapy, przewodniki, starają się zgromadzić jak najwięcej informacji o owym nieznanym, które z jakichś przyczyn zaciekawia, porusza czy fascynuje. Kiedy indziej, gdy wraca się do miejsc już niegdyś odwiedzonych, to również ze względu na siłę ich przyciągania, by odnaleźć to, co kiedyś zatrzymało naszą uwagę, a dla niektórych stało się niemal drugim domem. A czasami po prostu wsiada się w pociąg czy samolot i... już zdąża się na spotkanie z przygodą.

Tak samo podróżuje się z ideami i po ideach. Również pośród nich wędrujemy ze swego rodzaju mapą, przyciągnięci czyjąś pasją, zdumieni, poszukujący odpowiedzi na dręczące nas pytania, rozwiązań dla problemów, które wyrastają wokół nas, a czasem dosłownie spędzają nam sen z powiek. Liberalizm to właśnie taka podróż. Oddając dziś do Waszych rąk nowy numer *Liberté!* tworzymy przewodnik po ideach i problemach, które nam, liberałom wiernym różnym odmianom i szkołom liberalizmu, wydają się najistotniejsze. Nie piszemy manifestów, bo te rzadko mają wystarczającą siłę by przetrwać. Stawiamy na pytania i odpowiedzi o kształt wolnego rynku, państwo, które chcemy by stało się świeckie, Europę, jako pełen wyzwań żywy twór niewyczerpywalnych idei, zielony liberalizm, któremu przyglądamy się z zaciekawieniem, czy w końcu kulturę, którą traktujemy jako wyzwanie. Podróż w świat widziany oczami liberałów nie wyczerpuje się oczywiście w tych tematach, a wybrane na dziś nie zamykają zbioru opowieści, intelektualnych kierunków, które chcemy obierać, problemów, na jakie chcemy szukać rozwiązań, czy pytań, jakie postawimy sobie i naszym Czytelnikom. Otwieramy się zatem na to, co nowe, ale też wracamy do idei i faktów - swoistego matecznika, serca idei, które sprawiły, że nazywamy siebie liberałami. To serce i rozum, które dały nam głos wolny i wolność ubezpieczający.

Pozostajemy wierni sobie, liberalnemu sercu, które bije dla wolności. Zmieniamy się, ale... „Każdy przecież początek / to tylko ciąg dalszy,/ a księga zdarzeń / zawsze otwarta w połowie".

EUROPA, DEMOKRACJA, POPULIZM

4 • **DLACZEGO POPULIŚCI RZĄDZĄ?**
Leszek Jażdżewski

10 • **„NOWOCZESNOŚĆ TO OTWARTOŚĆ NA ŚWIAT"**
Rozmowa Piotra Beniuszysa z Kathariną Schulze

ŚWIECKIE PAŃSTWO

18 • **ŚWIECKOŚĆ JAKO POSTULAT POLITYCZNEGO CENTRUM**
Błażej Lenkowski

22 • **TOAST ZA ŚWIECKIE PAŃSTWO**
Rozmowa Magdaleny M. Baran z prof. Tadeuszem Gadaczem

ILE LIBERALIZMU W KAPITALIZMIE?

30 • **MATKI+: NA PLUSIE CZY NA MINUSIE?**
Rozmowa Agnieszki Kożańskiej z prof. Markiem Górą

38 • **RYNEK NASZEJ WOLNOŚCI**
Tomasz Kasprowicz

WYZWANIE: KULTURA

44 • **RAZ JESZCZE KULTURA!**
Rozmowa Magdaleny M. Baran z Jarosławem Makowskim

50 • **WYZWANIE KULTURA: MAKING REALITY**
Alicja Myśliwiec

ZIELONY LIBERALIZM

56 • **LIBERALIZM, WERSJA *GREEN***
Piotr Beniuszys

61 • **EKOLOGIA JAKO WOŁANIE O JAKOŚĆ**
Katarzyna Ratajczyk

WIERSZ WOLNY

66 • **WIELKI SEN**
Piotr Gajda

DLACZEGO POPULIŚCI RZĄDZĄ?

LESZEK JAŻDŻEWSKI

Prawa polityki zwykło się traktować jak prawa ekonomii, czy niemal fizyki, z twardą przyczynowo-skutkową logiką: skoro ludzie głosują na partię obiecującą większą redystrybucję, to znaczy, że musiało się im ostatnio pogorszyć (...). Tymczasem polityka tak nie działa.

Jak wytłumaczyć zjawisko fali populizmu w ostatniej dekadzie w krajach o tak zróżnicowanej kulturze politycznej, rozwoju gospodarczym i strukturze społecznej jak USA, Turcja, Brazylia, Wielka Brytania, Włochy, Filipiny, Polska czy Węgry? Powstało wiele teorii, z których większość koncentruje się na rosnących nierównościach, na wykluczonych, którzy wreszcie doszli do głosu, wreszcie na polaryzacyjnym potencjale mediów społecznościowych i podążających za nimi mediów tradycyjnych. Z całą pewnością przełomowym wydarzeniem, przynajmniej w USA i w Europie, był kryzys finansowy sprzed dekady, a w Unii Europejskiej także kryzys uchodźczy sprzed trzech lat.

Kiedy jednak przyjrzeć się obiektywnym wskaźnikom – poziomu bezrobocia, nierówności czy skali migracji, okazuje się, że ostatnie lata nie były na tle kilku ostatnich dekad wyjątkowe. Problem nielegalnej imigracji do USA intensywnie zwalczał... Barack Obama i odbywała się ona na znacznie większą skalę w czasach Georga W. Busha niż Donalda Trumpa.

Gospodarki UE i USA odrobiły w ostatnich latach spadki z czasu kryzysu. W Unii to nie kraje najbardziej dotknięte przez kryzys, jak Grecja, Irlandia, Portugalia czy Hiszpania, ale Polska, Węgry, Włochy czy Austria, a nawet Francja, czy kraje skandynawskie, mają największy problem z nieliberalnymi siłami, które w trzech pierwszych państwach sprawują rządy, rozsadzając europejską wspólnotę od środka.

Skąd więc ogarniający cały świat populizm, który w wielu krajach przyjmuje nacjonalistyczne czy wręcz autorytarne oblicze?

Dziel i rządź

Żeby zrozumieć to zjawisko trzeba przemodelować powszechne – i błędne – myślenie o polityce jako takiej. Prawa polityki zwykło się traktować jak prawa ekonomii, czy niemal fizyki, z twardą przyczynowo-skutkową logiką: skoro ludzie głosują na partię obiecującą większą redystrybucję, to znaczy, że musiało się im ostatnio pogorszyć. Jeśli wygrywają partie antyimigranckie, to znaczy, że pojawiła się korelacja z napływem migrantów lub problemy z istniejącymi społecznościami.

Tymczasem polityka tak nie działa. Podobnie jak wiele innych fenomenów społecznych. To nie tak, że skoro dziś na Kler walą tłumy, to jest to wynik ostatnich 3 lat rządów PiS pod rękę z Kościołem katolickim, a Polacy w ciągu tych lat się zlaicyzowali. Oczywiście są tacy, którzy znajdą dane na wszystko - ale to zbyt upraszczająca wizja procesów znacznie bardziej skomplikowanych.

Polityk jest tu jak artysta – rzeźbiarz, bierze istniejący materiał i stwarza nowe dzieło – czyli nową linię podziału

Z polityką jest jak z eksploatacją złóż surowców naturalnych. To, że zaczyna się wydobywać, dajmy na to, ropę naftową w zupełnie nowym miejscu, oznacza tylko tyle, że została ona tam odkryta i że wydobycie zaczęło się opłacać, a nie, że w ciągu ostatnich stu lat narodziły się jakieś nowe złoża. Podobnie jest z nowymi tematami w polityce.

Potencjał dla danego tematu może przez lata uśpiony spoczywać na metaforycznym dnie morza, aż jakiś polityczny talent odkryje jego potencjał. Ale to za mało, żeby podjąć eksploatację. Trzeba umiejętnie stworzyć opowieść uwzględniającą istniejący już resentyment czy napięcie. Polityk jest tu jak artysta – rzeźbiarz, bierze istniejący materiał i stwarza nowe dzieło – czyli nową linię podziału. Bo na tym polega sztuka wielkiej polityki, na umiejętnym dzieleniu (*Divide et impera* – Dziel i rządź).

Tak Donald Trump wykorzystuje kwestię rasową – grając na niewypowiedzianym rasizmie, białej „milczącej większości", która w prezydenturze Obamy doświadczyła, czym będzie dla niej stopniowe stawanie się liczebnie największą, ale mniejszością, w rasowo zróżnicowanej Ameryce.

Czarni, nie mówiąc o samych *Native Americans*, ale też latynosi (których w USA rasowo odróżnia się od caucasian whites) mają wciąż „przechlapane". Dlatego, wielu białych nie ma wcale ochoty rezygnować ze swojego uprzywilejowanego statusu. Tym bardziej, że wielu z nich – spauperyzowanej klasie wielkoprzemysłowej – często niewiele więcej, oprócz statusu, pozostało.

Trump nie odwołuje się do ideologii *white supremacists* wprost, to byłoby jednak wciąż trudne do strawienia dla wielu, choć nie wszystkich, jego wyborców. Mówi o powrocie do mitycznej Ameryki z przeszłości, sprzed rasowej i kulturowej emancypacji lat 60: *Make America great again*. Może i była ona *great*, ale zdecydowanie nie dla wszystkich.

Do przezwyciężenia kryzysu potrzebne były nieortodoksyjne metody ekonomiczne i polityczne

Podziały w polityce nie powstają same. One są tworzone przez polityków.

Populiści wchodzą do gry

W krajach młodych demokracji, takich jak Rosja, Polska, czy Węgry, ale też Filipiny czy Turcja, reguły liberalne – trójpodział władzy, niezależność sądownictwa i mediów, nienaruszalna własność i kapitalizm – są relatywnie nowe. Zostały przyjęte ponieważ 30 lat temu wydawało się, że nie można inaczej uczestniczyć w nowoczesności i globalizacji. Obowiązywał consensus waszyngtoński, wsparty hegemonią USA.

Elity, w tym także te „reżimowe" powszechnie go wsparły ponieważ w większości się im opłacał (szczęśliwie opłacał się również ich krajom). Geopolityczne słabnięcie USA, zapoczątkowane ugrzęźnięciem na lata w Afganistanie i Iraku, a następnie globalny kryzys finansowy podkopały zarówno siłę jak i wiarygodność Washington consensus. Do przezwyciężenia kryzysu

iStock.com/mokee81

potrzebne były nieortodoksyjne metody ekonomiczne i polityczne. Dla wielu państw twardy gorset, rodem z anglosaskiego podręcznika, okazał się zbyt sztywny.

Część elity, która nie załapała się na stanowiska, do których aspirowała, poczuła swoją szansę. Wcześniej mogli być uznawani za dziwaków (Corbyn), być na kompletnym marginesie polityki (Farage, Kaczyński po 1993 r.), znajdować się w głębokiej izolacji bez szans na rządzenie (Le Pen). Według reguł starego porządku nie mieli szans na objęcie władzy. Antysystemowe siły były obecne zawsze w polityce, ale powstrzymywały je partie głównego nurtu.

Zwycięstwo populistów stało się możliwe, bo polityczny kordon sanitarny przestał otaczać wcześniej wyklęte ideologie. Możliwe stały się sojusze części elit z antysystemowcami wierzącymi w teorie spiskowe. Możliwe stało się też wejście do wielkiej polityki z jej kompletnych marginesów i wrogie przejęcie mainstreamu.

Pierwszy z tych modeli, to przykład Polski. Tymiński, Lepper, skrajne narodowo-katolickie ugrupowania – takie antyzachodnie, antysystemowe ugrupowania były w polskiej polityce obecne od jej zarania, jednak nigdy nie zdobyły sobie pozycji do wpływu na jej główny nurt. Zmieniło się to dopiero wtedy, kiedy ich siłę wykorzystał Jarosław Kaczyński, który wcześniej stworzył dość tradycyjną partię centroprawicową. W rządzie PiS mieścili się wtedy i Ludwik Dorn i Kazimierz Marcinkiewicz, a nawet Radosław Sikorski i Stefan Meller.

Warunkiem zwycięstwa populistów jest przyłączenie się do nich części istniejącego już establishmentu

Drugi model, to przykład amerykański. Do polityki łatwiej jest dziś wejść z jej marginesów

i dokonać wrogiego przejęcia w mainstreamie. Tylko tak Donald Trump mógł przejąć Partię Republikańską. A skoro już to osiągnął, reszta dokonała się sama. Republikański kandydat, po dwóch kadencjach demokratycznego prezydenta, pokonał nielubianą kandydatkę Demokratów. W tym nie ma nic zaskakującego. Zaskakujące jest to, że ktoś taki jak Trump mógł w ogóle wygrać nominację.

Warto zajrzeć do amerykańskiego bestsellera *Tak umierają demokracje*, wydanego niedawno przez *Liberté!*, żeby zobaczyć jak wcześniej amerykańscy populiści powstrzymywani byli przez reguły obowiązujące w wyłanianiu kandydatów w *primaries*. Ich demokratyzacja, osłabienie roli nielubianych – ale potrzebnych i skutecznych partyjnych liderów – doprowadziło do elekcji prezydenta, pozbawionego elementarnych kompetencji, moralnych i merytorycznych, do zasiadania w Białym Domu.

Elity, a z nimi liberalizm, utraciły moc samoistnej organizacji społeczeństwa

Warunkiem zwycięstwa populistów jest przyłączenie się do nich części istniejącego już establishmentu. Nierzadko sami do niego należą, ale umiejętnie potrafili się do swojego poprzedniego, mainstreamowego, wcielenia się zdystansować: jak liderzy Brexitu z partii torysów, Kaczyński w Polsce czy Orban na Węgrzech.

Wbrew regułom

Siła populistów bierze się z zanegowania, przynajmniej werbalnego, obowiązujących reguł. Łamanie tych reguł klasycznym politykom przynosiło zwykle klęskę, w przypadku populistów stanowi fundament ich tryumfu. Przy całym zróżnicowaniu, w ich przekazie jest co najmniej jeden wspólny element: wyzwanie rzucone elitom i merytokracji jako takiej.

Żaden z przywódców populistycznej rebelii, z nieformalnym liderem Władimirem Putinem na czele, nie neguje demokracji jako takiej. Chodzi im raczej o pierwiastek „liberalny", czyli ten właśnie, który odwołuje się do reguł, które nie zawsze są stanowione w powszechnym głosowaniu. Orban liberalną demokrację składał do lamusa dziejów, rosyjscy technolodzy władzy ukuli pojęcie „demokracji suwerennej". Liderom o zapędach autokratycznych nienaruszalne zasady w rządzeniu zwykle przeszkadzają.

Antyliberalny kurs popierają jednak nie tylko populiści. Spotyka się on też z entuzjazmem szerokich rzesz obywateli. Dzieje się tak dlatego, że wiele z tych reguł wyglądają jak podyktowane przez żądne zachowania status quo elity.

Merytokracja w tym wydaniu, to zasady klubu, dla dzieci bogatych i wpływowych, wywieszone na płocie pola golfowego, zbudowanego tam, gdzie mógłby mieścić się ogólnodostępny park. W wielu konkretnych przypadkach merytokracja, czyli rządy ekspertów, niosą też korzyści społeczności: np. niezależne od władzy wykonawczej sądy. Co z tego, jeśli w odczuciu społecznym i tak decydują zakulisowe intrygi, to kto ma lepsze „plecy", skończył lepsze szkoły, ma bardziej wpływowych przyjaciół.

Reguły, które dziś z taką satysfakcją naruszają populiści nie mają sankcji społecznej. Elity, a z nimi liberalizm, utracił moc samoistnej organizacji społeczeństwa. Ludzie nie chcą słyszeć, że „coś jest dla nich dobre". Bo zwykle w tle stoją niewypowiedziane interesy tych, którzy sprawują władzę.

Procesy decydujące o obliczu świata są zbyt skomplikowane, żeby można było wyzbyć się ekspertów. W praktyce to oni, ich raporty, briefingi, talking points rządzą dziś agendami liderów. Trudno, żeby takie kompetencje budowali obywatele, dla których polityka to margines ich życia, nagłówki w popularnych portalach czy memy na Facebooku. Ale bez ich legitymizacji eksperci staną się podejrzani, jak w Wielkiej Brytanii w kampanii przedreferendalnej.

Dopóki elity nie przekonają swoich współobywateli, że społeczeństwo reguł i kompetencji nie jest sposobem wykluczenia tych, którzy na starcie nie mają możliwości doszlusowania do młodych, pięknych i bogatych, dopóty populiści będą karmić się gniewem wszystkich, którzy w tej grze czują się przegrani. ◉

LESZEK JAŻDŻEWSKI

Redaktor naczelny *Liberté!*, współtwórca Igrzysk Wolności.

„NOWOCZESNOŚĆ TO OTWARTOŚĆ NA ŚWIAT"

Z KATHARINĄ SCHULZE, PRZEWODNICZĄCĄ FRAKCJI SOJUSZ '90/ZIELONI W LANDTAGU BAWARII ROZMAWIA PIOTR BENIUSZYS

Fot. materiały prasowe/ Andreas Gregor

Europa jest w momencie ideowego przełomu. Dawne, „żelazne" zasady dotyczące układu sił w polityce tracą ważność. Wykuwa się nowa struktura, nowe konflikty społeczne artykułują się w inaczej rozkładających się głosach. W wielu krajach Europy Zachodniej jednym z nowych zjawisk jest wzrost siły zielonych ugrupowań. W tym numerze postanowiliśmy spojrzeć na potencjał tego ruchu społecznego i jego relacje z tradycyjnym liberalizmem, z naszymi wartościami. Dlatego porozmawialiśmy z Kathariną Schulze, liderką zeszłorocznej kampanii Zielonych w wyborach do bawarskiego landtagu, a dzisiaj przewodniczącą frakcji Zielonych w tym lokalnym parlamencie. Jej partia zaskoczyła w wyborach, osiągając w tradycyjnie konserwatywnej, zdominowanej przez CSU, Bawarii drugi wynik i 17,5% głosów, a sama Schulze zdobyła mandat bezpośredni w jednomandatowym okręgu wyborczych obejmującym część Monachium. Koalicje Zielonych i chadecji wydają się w Niemczech pieśnią rychłej przyszłości.

Piotr Bieniuszys: Pani Przewodnicząca, które idee będą w trzecim dziesięcioleciu XXI wieku dla Zielonych najważniejsze? Czy należy spodziewać się bliskości do klasycznych liberalnych wartości z indywidualną wolnością na czele, czy jednak do związanej ze wspólnotowością filozofią państwa socjalnego?

Katharina Schulze: My, Zieloni, stoimy zdecydowanie po stronie tradycji liberalnej. Dla państwa rolę konstytuującą odgrywają pozytywnie stanowione normy prawa, które nie zważając na osobę, obowiązuje wszystkich. Nie bez powodu Temida nosi przepaskę na oczach. Idea wspólnoty przedpolitycznej, która kształtuje państwo, nie jest naszą ideą. Przeciwnie, na koncepcje komunitaryzmu spoglądamy z pewnym sceptycyzmem, ponieważ one mogą być może funkcjonować w społeczeństwie tradycyjnym, ale nie w nowoczesnym i otwartym na świat. Kto w XXI wieku w Europie idzie w stronę idei społeczeństwa homogenicznego kulturowo, świadomie akceptuje fakt, że będzie ją w stanie przeforsować tylko i wyłącznie autorytarnymi środkami.

Oczywiście liberalne społeczeństwo także nie jest pozbawione problemów. Tam, gdzie liberalizm prowadzi do tego, że każdy myśli tylko o sobie, powstają problemy. Celem polityki jest wolność, jak powiedziała Hannah Arendt. Ale jeśli cel tak postawiony chcemy osiągnąć, to nie wystarczy ustanowić tylko wolność jednostki wobec państwa. Musimy ludziom także dać wolność aktywnego i samodzielnego kształtowania własnego życia poprzez możliwość współuczestniczenia, wywierania wpływu i brania udziału w socjalnych zdobyczach społeczeństwa. Demokracja deliberatywna, taka jaką kreśli Jürgen Habermas, jest koniecznym i odpowiadającym wymogom czasu, kolejnym etapem rozwoju myśli liberalnej.

W wielu krajach Europy obserwujemy dwa procesy: jeden to wzrost sił nacjonalistycznych, chętnie odwracających się plecami od świata, niekiedy skrajnie prawicowych; drugi to upadek – powiedzmy – klasycznej socjaldemokracji. W jakim stopniu rysujący się równolegle trzeci proces – rośnięcia w części państw partii Zielonych – można rozumieć jako rezultat tamtych dwóch procesów? Czy to przemiana strukturalna elektoratów i wyznawanych hierarchii priorytetów, czy jednak przejściowe zwyżkowanie?

Przez wiele lat systemy partyjne w Europie były zdominowane przez konflikt socjo-ekonomiczny: Czy państwo ma poprzez wyższe podatki i składki prowadzić większą redystrybucję i zadbać o większą równość? Czy też jednak powinno się wycofać i zostawić więcej przestrzeni wolnej grze rynków? Za pierwszym kierunkiem opowiadały się partie socjaldemokratyczne, za drugim – partie konserwatywne i gospodarczo liberalne. Od jakiegoś już czasu ujawnia się jednak nowy konflikt, który zyskuje na znaczeniu. Czy państwa powinny prowadzić otwartą na świat i liberalną politykę, stawiać na współpracę międzynarodową? Czy też powinny wzmacniać państwo narodowe, stawiać na społeczeństwo kulturowo homogeniczne, a kooperację międzynarodową ograniczyć do minimum? Za pierwszym kierunkiem opowiadają się partie zielone i lewicowo-liberalne, za drugim partie autorytarne i nacjonalistyczne. Im bardziej nabrzmiały staje się ten konflikt, tym bardziej umacniają się te dwie przeciwstawne postawy. Dlatego to, co teraz obserwujemy, jest zmianą strukturalną, a nie przejawem sezonowej mody.

Co popycha ludzi ku prawicowemu populizmowi? Czy ta tendencja z czasem w naturalny sposób się wyczerpie? Czy też raczej dla jej wyczerpania potrzebny będzie dobitny punkt zwrotny w dziejach?

Nowoczesny świat jest pełen sprzeczności i najróżniejszych powiązań. Przeżywamy fazę przełomu, w której bardzo wiele spośród tego, co wcześniej wydawało się słuszne, już nie działa. Doświadczamy większej różnorodności, ludzie chcą więcej przestrzeni samostanowienia. Równocześnie w przypadku cyfryzacji mamy do czynienia ze zjawiskiem, które zmienia prawie wszystko. Te przewroty w życiu społecznym dezorientują wielu ludzi. Prawicowi populiści dają na to łatwe odpowiedzi, które sugerują przywrócenie bezpieczeństwa i niektórzy ludzie na to się nabierają. Ale trwałych rozwiązań populiści nie mają. Spójrzmy na Brexit. Jego zwolennicy obiecali, że wraz z nim Wielka Brytania odzyska kontrolę. A co dzieje się teraz? Sytuacja jest całkowicie poza kontrolą. Donald Trump powiedział dużo wielkich słów. On także poniesie klęskę. Przeżywamy trudną sytuację, jestem jednak dobrej myśli, że na koniec rozsądek przeważy. Zadaniem świata polityki jest wskazanie kierunków i zaproponowanie rozwiązań. Administrowanie tym, co jest, nie wystarczy.

Debatę polityczną prowadzi się w Europie w sposób coraz bardziej brutalny. Internet jest często wskazywany, jako jeden z powodów tego zjawiska. Jak pacyfista może w takim środowisku dawać odpór?

Internet i media społecznościowe prawdopodobnie nie są przyczyną brutalniejszych debat. Jednak wzrost ich znaczenia doprowadził do tego, że psychiczne bariery przed rozprzestrzenianiem nienawiści i nagonką, wyraźnie się obniżyły. W niektórych częściach społeczeństwa przyzwoitość i cywilizacyjne standardy uległy najwyraźniej całkowitemu zanikowi. Dopóki chodzi przy tym o wyrażanie opinii politycznych, trzeba to wytrzymać. Kiedy jednak przekraczane są granice czynów karalnych, trzeba przeciwko temu kierować kroki prawne. Kto innych obraża w najgorszy ze sposobów lub przeczy Holokaustowi, nie wnosi nic do debaty, tylko popełnia czyn karalny, za który musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

O Zielonych często mawia się, że są politycznym ruchem sytych, progresywnych

„Należy stawać naprzeciwko obaw i wątpliwości z jasnymi argumentami i przekonaniem, tak aby odwaga wygrywała ze strachem."

Fot. materiały prasowe/ Andreas Gregor

warstw społecznych. Wartości postmaterialne stają się atrakcyjne bowiem dopiero wtedy, gdy podstawowe potrzeby szerokiej większości zostały zaspokojone. Polsce w tym kontekście jeszcze daleko do etapu, na jakim jest Bawaria, Badenia-Wirtembergia, Austria czy Holandia. Czy, pomimo tego także w kraju wschodnioeuropejskim zielona tama może rozpędzić prawicowo-populistyczne upiory?

Wielki niemiecki dramaturg Bertold Brecht powiedział kiedyś: „Najpierw żarcie, potem moralność". Ja w to nie wierzę. Ponieważ dobrobyt dla wszystkich nie powstaje wtedy, gdy każdy myśli tylko o sobie. Do tego potrzebujemy w nowoczesnym świecie dobrych fundamentów: szkół, infrastruktury, badań naukowych, a także zdrowego środowiska. I potrzebujemy także idei i zaangażowania ludzi. W nowoczesnym społeczeństwie nie można ludziom dyktować, co mają myśleć. Szeroka akceptacja dla postmaterialnych wartości, takich jak zdrowe środowisko i decydowanie o sobie samym, są następstwem dobrobytu. One są jednak także w coraz większym stopniu jego podstawą. Kto zniesławia je jako jakiś zwykły luksus, ten nie zrozumiał jak funkcjonuje nowoczesne społeczeństwo. Także i w tym przypadku stawiam na to, że na koniec przeważą lepsze argumenty i rozwiązania, a nie strach.

Pani politycznym mottem jest praca zorientowana na rozwiązania. Jak walczyłaby pani o głosy w takim kraju, jak Polska, który niezależność w polityce energetycznej utrzymać może tylko za pomocą węgla kamiennego, a którego mieszkańcy masowo boją się uchodźców i imigrantów, upatrując w etnicznej homogeniczności gwarancji bezpieczeństwa na ulicach?

KATHARINA SCHULZE

Niemiecka polityczka, od 2013 r. posłanka do landtagu Bawarii z ramienia Sojuszu 90/Zielonych; od 2018 r. liderka frakcji swojej partii w landtagu i liderka całej opozycji.

Należy stawać naprzeciwko obaw i wątpliwości z jasnymi argumentami i przekonaniem, tak aby odwaga wygrywała ze strachem. Jeszcze 25 lat temu nas, Zielonych, większość ludzi w Niemczech wyśmiewała, gdy mówiliśmy o wytwarzaniu energii ze źródeł odnawialnych. Dzisiaj odejście od energetyki jądrowej jest postanowione, zaś propozycja odejścia od węgla leży na stole. Także Polska może stać się jak Niemcy, energetycznie niezależna bez węgla. Trzeba w to zainwestować dużo pieniędzy. Ale to się opłaca: prąd z energii wiatrowej i słonecznej daje się dzisiaj już wytwarzać po bardzo niskich kosztach. Najpóźniej za kilka lat stanie się to przewagą konkurencyjną. A dla środowiska i tworzenia miejsc pracy to tak czy inaczej lepsze rozwiązanie.

Rzekoma wyższa przestępczość uchodźców jest chimerą. Jeśli weźmie się dane o ich przestępczości i zestawi z porównywalnymi rodzimymi grupami ludności, po czym odliczy typowe kategorie naruszenia prawa, jak naruszenia ustawy o cudzoziemcach (której rodzimi mieszkańcy nie są w stanie w ogóle naruszyć), to nie pozostanie żadna wielka różnica. Owszem to prawda, wśród przybyłych jest ponadproporcjonalnie dużo młodych mężczyzn, którzy naruszają prawo. Ale młodzi mężczyźni często naruszają prawo, obojętnie skąd pochodzą. Tym, czego oni potrzebują, jest jakaś perspektywa. Wielu z nich jest ambitnych i chce sobie coś zbudować. Jeśli my zaoferujemy im możliwości, to obie strony na tym skorzystają: i uchodźcy, i kraj, który ich przyjął.

Jak widzi Pani przyszłość integracji europejskiej? Czy Europa środkowo-wschodnia jest z mentalnego punktu widzenia zdatna, aby ją współtworzyć? Czy też konieczna będzie Europa dwóch prędkości, aby obecną sytuację uzdrowić?

Europa jest moim domem. Jest czymś, co leży mi naprawdę na sercu, ponadnarodowy projekt pokojowy. Naszą perspektywą jest perspektywa wspólnej Europy. Wspólnej to znaczy wspólnej, a więc także razem także z Europą środkowo-wschodnią. Dla nas ważne są dwie rzeczy: Europa jako wspólnota solidarna oraz Europa jako wspólnota wartości. Wspólnota solidarna oznacza dla mnie, że siebie wzajemnie wspieramy. Nikogo nie zostawia się samego z jego problemami. Wspólnota wartości oznacza dla mnie: demokracja, liberalne państwo prawa i godność człowieka nie podlegają dla nas negocjacjom. Europa, która bazuje tylko na ekonomicznych interesach, czyli taka trochę lepsza strefa wolnego handlu, nie jest naszą perspektywą.

Liberałowie obawiają się często Zielonych, jako „partii zakazów". Czy można być mimo to spokojnym, że także pod rządami Zielonych jedzenie mięsa i jazda samochodem pozostaną legalne?

Etykietka „partii zakazów" jest nam chętnie przypinana przez tych, którzy mówią „nie chcemy i nie potrzebujemy żadnych zmian". My, Zieloni, nie chcemy zakazać ani jazdy samochodem, ani jedzenia mięsa. Mówimy jednak, że musimy pozostawić po sobie przyszłym pokoleniom świat, w którym warto żyć. Jeśli zrujnujemy nasze powietrze, naszą wodę i nasze gleby, wtedy tego celu nie osiągniemy. Dlatego musimy naszą mobilność zorganizować tak, aby od A do B można było dotrzeć w przyjazny dla środowiska sposób. To może nastąpić za pomocą samochodu, ale on musi wtedy być oparty na czystych technologiach. I musimy się o to zatroszczyć, aby rolnictwo pracowało ramię w ramię z naturą, a nie przeciwko niej. To bowiem na dłuższą metę oznaczałoby piłowanie gałęzi, na której wszyscy razem siedzimy.

Pani Przewodnicząca, bardzo dziękujemy za rozmowę! ◉

PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w *Liberté!*. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

ŚWIECKOŚĆ JAKO POSTULAT POLITYCZNEGO CENTRUM

BŁAŻEJ LENKOWSKI

Obywatele powinni mieć prawo do własnych wyborów dróg życiowych i własnych wyborów moralnych, natomiast obowiązkiem nowoczesnego państwa jest zapewnienie takich praw każdej jednostce.

Wielkim zadaniem jakie stoi przed zwolennikami świeckiego państwa jest wprowadzenie tego postulatu do programu politycznego mainstreamu. Tylko w ten sposób możemy realnie walczyć o zmiany na poziomie ustawodawstwa. Oznacza to, że o świeckości trzeba zacząć mówić innym językiem, w taki sposób aby oderwać w gruncie rzeczy już centrowe postulaty podejmowane na Zachodzie np. przez brytyjską Partię Konserwatywną, od towarzyszącemu im w Polsce wizerunku antyklerykalnego radykalizmu, który prowadzi jedynie do ślepej uliczki pewnej egzotycznej niszy. Tymczasem postulat zmian prawnych dotyczących rozdziału Kościoła i państwa zaczyna być niezwykle pilną potrzebą nie tylko ze względów ideowych, ale też z racji na pragmatykę polityczną i niedopuszczalne związanie kościoła z jednym środowiskiem politycznym. I do dostrzeżenia tych faktów musimy przekonać liderów partii centrowych w Polsce.

O jaką świeckość powinniśmy zabiegać?

Dlatego należy zdecydowanie podkreślić, że idea świeckości, o którą zabiegamy nie jest równoznaczna z antyklerykalizmem czy jakimkolwiek atakiem na wiarę. Wiara pozostaje niezwykle ważnym elementem życia dla bardzo wielu osób i należy podchodzić do niej z należnym szacunkiem. To świeccy liberałowie będą tym środowiskiem, które z determinacją będzie bronić zasady wolności religijnej, dbać o to aby księża i kościoły miały swobodę działania, a każdy obywatel w życiu prywatnym mógł kierować się wartościami swojej wiary. W przeszłości wiele świeckich środowisk w Polsce wielokrotnie naruszało zasadę owego szacunku. Co ważne nadal jest ona naruszana, co w takim kraju jak Polska przeszkadza wprowadzeniu świeckich postulatów do politycznego mainstreamu.

Broniąc wolności religijnej, musimy jednak pryncypialnie bronić granicy owej wolności, którą jest wolność drugiej jednostki i prawo do wyznawania innego światopoglądu. To, o co walczymy można w zasadzie zapisać w jednym zdaniu: „Domagamy się prawa każdej jednostki do wyboru własnej światopoglądowej czy religijnej drogi, tak długo jak nie narusza ona tego samego prawa innej osoby". Aby zapewnić realizację tego postulatu potrzebujemy świeckiego państwa, dbającego o rozdział państwa i Kościoła, traktującego dominujący Kościół w sposób możliwe równy innym organizacjom religijnym czy światopoglądowym. Państwa dbającego aby przekonania religijne danej grupy osób nie stawały się prawem powszechnym obowiązującym wszystkich obywateli.

Broniąc wolności religijnej musimy pryncypialnie bronić granicy owej wolności, którą jest wolność drugiej jednostki

To nie jest postulat radykalny. Natomiast logiczną jego konsekwencją jest zmiana prawna, która doprowadzi do: legalizacji związków partnerskich zarówno

hetero jak i homoseksualnych (które powinny mieć prawa równe parom małżeńskim), finansowania przez państwo in vitro, legalizacji aborcji, wyłączenia lekcji religii z oficjalnego programu szkolnego liczonego do średniej ocen, organizacji lekcji religii dla osób chętnych tylko po zakończeniu głównego programu zajęć szkolnych. Obywatele powinni mieć prawo do własnych wyborów dróg życiowych i własnych wyborów moralnych, natomiast obowiązkiem nowoczesnego państwa jest zapewnić takich praw każdej jednostce. Jednocześnie świeccy liberałowie będą dbali o pełną wolność działania i głoszenia własnych prawd moralnych przez Kościół katolicki, który swoją nauką powinien kształtować światopogląd czy wybory wiernych. Kościół musi to jednak czynić wykorzystując ambonę, a nie prawo państwowe i wpływy w partiach politycznych.

Niepisana umowa skłaniająca stronę kościelną do działania była okupiona ogromnymi transferami finansowymi, jakie państwo zaczęło przekazywać na rzecz Kościoła

Dlaczego świeckie państwo to kluczowe zadanie polityczne dla całego obozu europejskiego?

U zarania III Rzeczpospolitej jej ojcowie założyciele w Kościele katolickim, konsekwentnie wspierającym wcześniej opozycję antykomunistyczną, widzieli sojusznika w prozachodniej i prodemokratycznej drodze, jaką chcieli aby Polska zaczęła podążać. Takim założeniom sprzyjał fakt kurateli nad polskim Kościołem sprawowany przez Jana Pawła II, znakomitego polityka, który był przekonany, że miejsce Polski leży w Europie, wśród krajów o ustrojach demokratycznych. Jednak dla ogromnej części struktur Kościoła w Polsce, droga ta wcale nie była naturalna, a pokusa budowy zamkniętego państwa wyznaniowego od dawna była w Kościele postulatem bardzo popularnym.

Charyzmatyczny lider Kościoła katolickiego i ojcowie założyciele III RP, z Tadeuszem Mazowieckim i liderami partii postkomunistycznych na czele, zmusili Kościół do względnie skutecznej pracy na rzecz miejsca Polski w Europie, na rzecz demokracji w wersji znanej z innych krajów Unii Europejskiej. Niepisana umowa skłaniająca stronę kościelną do działania, była okupiona ogromnymi transferami finansowymi, jakie państwo zaczęło przekazywać w przeróżnych formach na rzecz Kościoła. Został on również ogromnie uprzywilejowany w systemie edukacyjnym. Stworzono mechanizm, w którym szczególnie w mniejszych miejscowościach, w wyniku połączenia siły niedzielnych kazań miejscowych proboszczów, oddziaływania takich mediów jak Radio Maryja oraz obecności Kościoła w szkole, nauka księży stała się dla wielu głównym czynnikiem, za pośrednictwem którego kształtowali swoje spojrzenie na świat. Konsekwencje są dziś dobrze widoczne w postawach dużej części młodych ludzi dorastających w III RP.

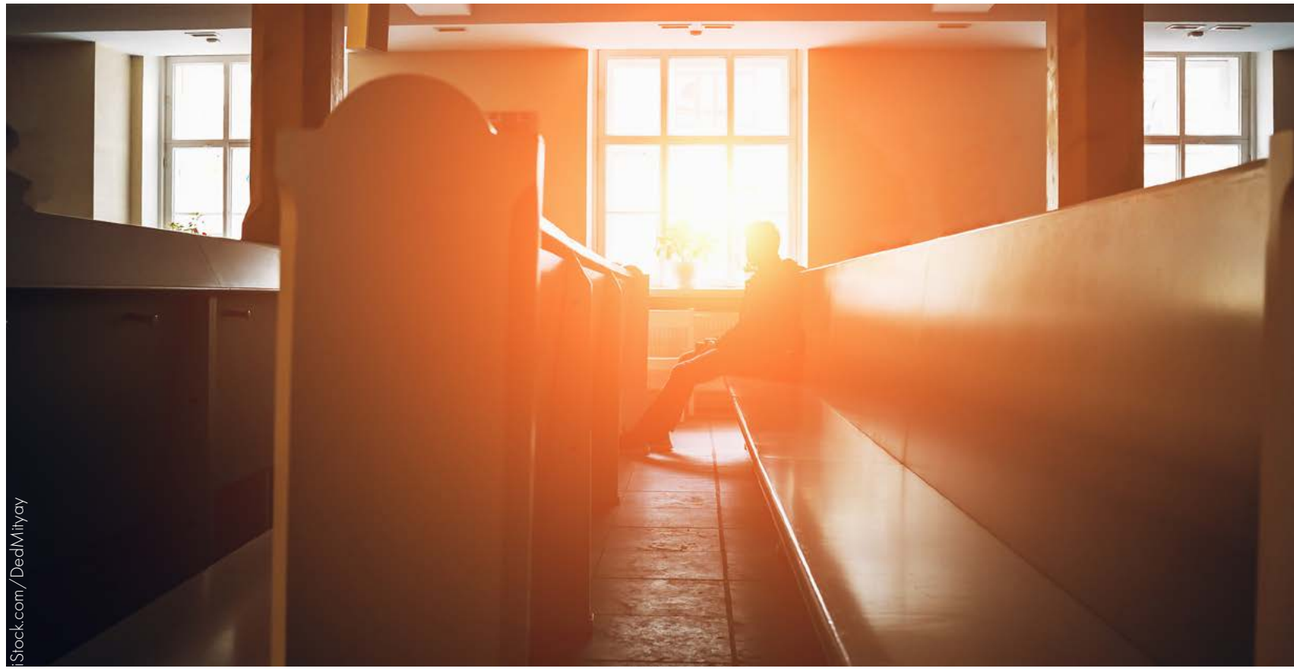

iStock.com/DedMityay

Opisany sojusz działał w miarę poprawnie do 2005 roku czyli śmierci Papieża. Równolegle dynamicznie rozwijał się jednak kościół radykalny spod znaku Radia Maryja. Później nastąpił znaczący zwrot w oficjalnych działaniach Kościoła i jego polityki względem strategicznych założeń polskiej racji stanu. Od około 2010 roku można już mówić o trwałym antyeuropejskim zwrocie mainstreamu polskiego Kościoła i rosnących z roku na rok coraz silniejszych jego powiązań z jednym tylko środowiskiem politycznym Prawa i Sprawiedliwości.

Można polemizować czy tak ogromne transfery finansowe dla Kościoła były kiedykolwiek uzasadnione. Uważam, że prowadzoną tak politykę finansową wobec Kościoła można traktować jako narzędzie w realizacji strategicznych interesów państwa. Jednak dziś państwo, które za swoją rację stanu

uznaje utrzymanie systemu demokracji liberalnej oraz miejsca Polski w Unii Europejskiej, nie może pozwolić sobie na finansowanie w takiej skali organizacji, która działa przeciw tym dwóm zasadniczym ideom.

Główne partie opozycyjne muszą zrozumieć, że dalsze finansowanie Kościoła w tej skali, bez powrotu ze strony beneficjenta do niepisanego sojuszu, pracującego na rzecz polskiej racji stanu czyli miejsca Polski w Unii Europejskiej oraz wzmacniania ustroju demokratycznego, dla ustroju państwa jest działaniem samobójczym. Po wygranych wyborach dzisiejsza opozycja powinna wykorzystać kwestie finansowe jako narzędzie wywierania wpływu na Kościół. Świeckie państwo może hojnie wspierać związki wyznaniowe, jeśli te wspomagają rację stanu. Chcąc zachować przywileje Kościół musiałby w jasny sposób „zrobić porządek" ze swoim radykalnym skrzydłem oraz Radiem Maryja. Warto przypomnieć, że tak naprawdę zasadniczym celem kampanii Świecka Szkoła, zainicjowanej przez środowisko *Liberté!*, było wskazanie skali finansowania Kościoła przez państwo, próba zniszczenia tabu, jakie ten temat stanowi w środowiskach centrowych oraz wskazanie finansów jako elementu nacisku na Kościół katolicki.

Czy polski Kościół może się jeszcze opamiętać? Dziś nadzieja na to wydaje się być niewielka. Uważam jednak, że świeccy liberałowie powinni kibicować i wspierać możliwości zwrotu w strategii kościoła, nie rezygnując z pryncypialnej obrony granicy wolności działania kościoła, którą jest wolność drugiej jednostki i prawo do wyznawania innego światopoglądu. Ewentualne nowe porozumienie z kościołem nie może obejmować rezygnacji z postulatów świeckiego państwa.

Świeckie państwo może hojnie wspierać związki wyznaniowe, jeśli te wspomagają rację stanu

Kościół to niezwykle silna organizacja, ważna dla ogromnej rzeszy Polaków, dlatego jego głos za Europą i demokracją byłby w trudnej przyszłości bardzo cenny. Tyle, że do tanga, zawsze trzeba dwojga. Czy Kościół otwarty ma dziś jeszcze dość siły aby przeciwstawić się Kościołowi zamkniętemu? Czy Kościół jest zdolny to samoograniczenia i akceptacji zasad świeckiego państwa? Może to pytanie retoryczne, ale uważam że warto publicznie je zadawać. ◉

BŁAŻEJ LENKOWSKI
Politolog, publicysta, prezes zarządu Fundacji *Liberte!*.

Magda Melnyk w Bibliotece Liberté!

Magda Melnyk mierzy się z nieprostą próbą udzielenia odpowiedzi na to łatwo brzmiące pytanie. Obrazowo przedstawia historię ścierania się procesów centralizacyjnych z ośrodkowymi, a na tej skomplikowanej osi sporu prezentuje przebieg kształtowania się państwowości hiszpańskiej. Autorka krok po kroku demistyfikuje przeszłość, która zarówno przez nacjonalistów narodowych jak i regionalnych była i jest silnie zniekształcana dla własnych celów propagandowych. Historia stanowi jedynie punkt wyjścia dla wydarzeń współczesnych, które są meritum niniejszej publikacji. Melnyk ukazuje polityczne zależności, które bezpośrednio wpływają na kształt i funkcjonowanie regionów autonomicznych, a także na obecną niewydolność tego systemu gdy starzy gracze (ludowcy, socjaliści, nacjonaliści katalońscy, monarchia) stawiają dziś czoła wielkim aferom korupcyjnym i walczą o przetrwanie. Od dawna oczekiwana reforma konstytucji, która jest jedynym antidotum na współczesny kryzys, nigdy nie wydawała się tak trudna do przeprowadzenia.

BIBLIOTEKA LIBERTÉ!

L!

Kup bezpośrednio: sklep.liberte.pl

TOAST ZA ŚWIECKIE PAŃSTWO

O POMIESZANIU PORZĄDKÓW ORAZ MOŻLIWOŚCI WYŁONIENIA SIĘ ŚWIECKIEGO PAŃSTWA Z PROF. TADEUSZEM GADACZEM ROZMAWIA MAGDALENA M. BARAN

Magdalena M. Baran: Panie Profesorze, gdy patrzymy na dzisiejszą Polskę, trudno nie zauważyć, że coraz bardziej daje się nam we znaki swoiste pomieszanie porządków. Mimo że nasze prawodawstwo nigdzie nie mówi o uprzywilejowanej roli Kościoła (bo nawet nie Kościołów), to w wielu wymiarach dominuje on dyskurs publiczny. Co tak naprawdę dzieje się w naszym państwie? Jak patrzy Pan na jego aktualny kształt, co się z nim dzieje, jak bardzo doskwiera nam brak świeckiego państwa, oznaczającego wyraźne, wielopoziomowe rozdzielenie Kościoła od aparatu państwowego. Czy nie jest tak, że dopiero ucząc się świeckości moglibyśmy mądrzej myśleć o Polsce, a dzięki temu lepiej radzić sobie z rozwiązywaniem naszych sporów?

Tadeusz Gadacz: Przede wszystkim przedstawiłbym dwa porządki. Pierwszy to porządek prawny, konkordatowy. Można go akceptować lub nie, można z nim oczywiście dyskutować, ale w jakiś sposób reguluje on relację pomiędzy państwem a Kościołem. Rzecz w tym, że porządek ten nie działa bo dominuje nad nim drugi porządek, który określam mentalnościowym. Ten z kolei jest bardzo głęboko zakorzeniony w doświadczeniu społecznym. Wystarczy pojechać na jakąkolwiek polską wieś, do pierwszego z brzegu powiatu, a od razu wiadomo gdzie są ośrodki władzy: to jest wójt, to jest proboszcz, to jest dyrektor szkoły. Najczęściej, to są lokalne autorytety, które wzajemnie się wspierają, porozumiewają, nawet jeśli pochodzą z różnych opcji politycznych, to jednak w pewnych sferach dochodzi między nimi do konsensusu. Inaczej wygląda to w miastach. Myślę, że ostatnie wybory samorządowe dowiodły, że mamy tutaj inny porządek. Wystarczy wspomnieć różnego rodzaju ruchy, które ostatnio się pojawiły. Chodzi o Czarne Marsze czy ruchy związane z walką z pedofilią. Wszystkie one są charakterystyczne dla dużych ośrodków miejskich. Stan obecny związany jest pośrednio z faktem, że polska mentalność społeczna nie została przełamana przez Oświecenie. Ono nas jedynie dotknęło. Znamy przecież zjawiska historyczne, które dobrze się zapowiadały. Była Konstytucja 3 maja, była próba odnowy edukacji autorstwa Stanisława Konarskiego, ale niestety bardzo szybko się to skończyło. Zakonserwował się pewien stan rzeczy. Paradoksalnie okres powojenny niczego tu nie zmienił, mimo że strony konfliktu były wyraźnie podzielone. Z jednej strony byli komuniści, z drugiej strony Kościół wspierający Solidarność, wspierający ruchy społeczne. Sam Kościół nie był wewnętrznie zróżnicowany. Pamiętając lata 70. i 80. trudno mówić, że występowały jakieś napięcia. Te pojawiły się dopiero po 89 roku. Myślę tu o Kościele otwartym. Zaczęto też mówić o Kościele Tischnera, Kościele toruńskim czy Kościele krakowskim. Paradoks tej sytuacji polegał też na tym, że pomimo wcześniejszego rozdzielenia na Kościół i komunizm, na dobrą sprawę lokalnie, w małych społecznościach nic się nie zmieniało. Proboszczowie załatwiali materiały na budowę przez partię, a członkowie partii chrzcili dzieci w tajemnicy. Mimo niesprzyjającego ustroju wszystko to funkcjonowało w symbiozie.

Teraz ta symbioza po prostu się ujawniła. Z jednej strony brak oświecenia spowodował, że ujawniła się romantyczna synteza, obecna w polskich kodach kulturowych takich, jak „polska przedmurzem chrześcijaństwa", „polska mesjaszem narodów". Pan Premier ogłasza, że będziemy Europę chrystianizować, uczyć kolęd. Kreuje się poczucie narodu polskiego

jako narodu niepokalanego. A skoro niepokalany, to przecież nie mógł mordować Żydów. Jesteśmy, że tak powiem, jakby narodem wybranym. Może trochę przesadzam...

Myślę, że możemy sobie darować to „jakby". Jeśli uważnie posłuchamy aktualnej narracji, to okazuje się, że tylko „nasi" się pojawiają, to albo są tam pierwsi, albo najbardziej skrzywdzeni. Kolejnemu pokoleniu wbija się w głowę romantyczne mity, o poświęceniu, wybraniu, niesieniu innym światła... Rzeczywiście nie przepracowaliśmy Oświecenia, bo tez nie bardzo mieliśmy ku temu szansę. Nastał czas rozbiorów, a Kościół stał się ostoją polskości, wolności, ostoją myślenia. Kościół nie jako był, ale chyba już wtedy osobnym torem zaczynała iść wiara. Później przychodzi wolność, kolejna wojna, a po niej komunizm, gdy znowu, dla kolejnych pokoleń, Kościół staje się ostoją wolności. Staje się patronem myśli i debaty w kościele dyskutują. To pod jego patronatem spotykają się i rozmawiają nie tylko rzymscy katolicy, ale również przedstawiciele innych wyznań agnostycy czy ateiści.

Wystarczy pomnieć przecież, wspomnieć książkę Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, albo rozmowy ks. Józefa Tischnera, Jacka Żakowskiego i Adama Michnika z *Między Panem, wójtem a plebanem*. Teraz patrzymy, gdzie są ci aktorzy, po której stronie. Jak to wyglądało wtedy? Kościół odegrał istotną rolę, tylko nie zapomnijmy, że to była sytuacja pewnej roli zastępczej. Istotą Kościoła nie jest pełnienie funkcji quasi-politycznych czy quasi-rewolucyjnych. Takie były czasy, taką funkcję Kościół spełniał, także pomagając obywatelom, tworząc punkty rozdawnictwa leków, żywności, pomagając w sytuacji kryzysu. I to trzeba pozytywnie ocenić. Ale to się skończyło prawda? I teraz zaczynamy żyć jako Polska w Europie, w Europie, w której relacje między Kościołem i państwem, władzą są jasno porozdzielane, określone. Natomiast my w tym wszystkim niby chcemy być nowoczesnym państwem, a jesteśmy przaśnie rozumianym społeczeństwem.

Nie przepracowaliśmy po roku 89, tylko pytanie, która strona tego bardziej nie przepracowała, czy społeczeństwo, czy politycy, czy Kościół?

Mam wrażenie, że zachowanie status quo leży w interesie obydwu stron niestety. Kościół w jakiś sposób zainfekował władze polityczną, a władza polityczna zainfekowała Kościół, a teraz te dwie instytucje wzajemnie zainfekowane przez siebie, realizują pewne interesy, które w ich mniemaniu są istotne, ważne. Kiedy mówię, że Kościół zainfekował władzę polityczną mam na myśli fakt, że wykorzystuje ją w celach realizacji swoich własnych dążeń. Chciałbym tu przypomnieć podział, który dla mnie jest istotny, na chrześcijaństwo kościelne i ewangeliczne, trochę może za Nietzschem. W chrześcijaństwie ewangelicznym, kluczową wartością jest świadectwo osobistego życia, to co Nietzsche nazywa Królestwem Bożym jako „stanem serca", czyli to, co ludzie robią ludziom. Albo ich niszczą, albo budują wspólnotę. Natomiast chrześcijaństwo kościelne, to chrześcijaństwo oparte na władzy, administracji, instytucji, szukającej koneksji z władzą polityczną. Może jestem trochę złośliwy, ale kiedy w minionym okresie toczyła się dyskusja na temat sprawczości zasad materializmu dialektycznego i historycznego,

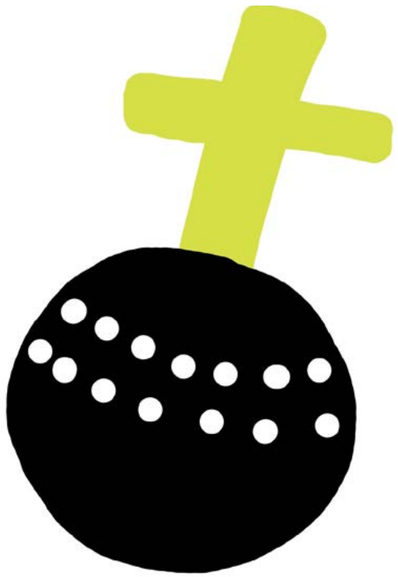

większość uważała, że są to uniwersalne prawa i one same zwyciężą. Wówczas jednak Róża Luxemburg powiedziała, że owszem, to są prawa uniwersalne, ale na wszelki wypadek trzeba im pomóc.

Podobnie jest tutaj, wierzymy w siłę Ewangelii, która powinna wystarczyć. Ludzie, którzy żyją w zgodzie z nią przekonują do pewnych prawd wiary, dają świadectwo własnego życia, ale tam gdzie nie ma autorytetów, gdzie brakuje świadectwa, tam jest ogromna pokusa do korzystania z tak zwanych środków siły. Skoro nie potrafimy przekonać ludzi, by w życiu kierowali się sumieniem, to zaaplikujmy prawo stanowione poprzez parlament, np. prawo odnośnie ochrony życia; porządkujmy ludziom życie, rządźmy nimi itd. Tu celowo używa się pewnych narzędzi politycznych, aby państwo chciało ulec tego rodzaju naciskom ze strony Kościoła. Ale by tak się stało musi być przez niego już w jakiś sposób zainfekowane. Jak? Na przykładzie ośrodka toruńskiego w Polsce ewidentnie widać, gdzie pompuje się ogromne kwoty pieniędzy, gdzie jeżdżą politycy. Nie chcę być niesprawiedliwy, bo może niektórzy jadą tam z pobożności, ale większość jedzie tylko po prostu by utrzymać elektorat.

To w tym miejscu pojawiają się dwa pytania. Pierwsze dotyczy tego, czy Ewangelia, jako taka, w ogóle się u nas broni? Mam wrażenie, że coraz mniej. Przez daleko idące upaństwowienie czy upolitycznienie stosunków Kościoła i państwa, to co nazwał Pan chrześcijaństwem ewangelicznym w debacie publicznej zostaje przysłonięte przez grę interesów. Z drugiej strony jest pytanie jak bronić świeckości i czy ona sama znajdzie siłę by się obronić? Wystarczy spojrzeć na to jak w teorii rozwijamy całą masę etyk praktycznych czy stosowanych, piszemy odpowiednie kodeksy, szukamy rozwiązań, tworzymy komisje etyczne czy bioetyczne, wiemy jak powinna wyglądać społeczna odpowiedzialność biznesu i tak dalej. Mamy świetne teorie, dobrze przygotowanych, coraz lepiej wykształconych ludzi. I tu pojawia się problem, bo często zderzamy się z argumentacją, czy wręcz ideologią, pochodzącą nawet nie z przekonań religijnych, ale wpajanej społeczeństwu przez konkretny ośrodek kościelno-polityczny. Mamy beton, który w jakimś sensie blokuje ten racjonalny namysł płynący z etyki.

Fot. Franciszek Vetulani (CC BY-SA 3.0)

PROF. TADEUSZ GADACZ

Filozof i religioznawca, pracownik Wydziału Humanistycznego Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

To prawda, całkowicie się z tym zgadzam. W ogóle jest takie przekonanie, że sfera etyki w zasadzie nie powinna w ogóle istnieć, ponieważ ona jest sferą nauki moralnej kościoła, co już jest ewidentnym przykładem, że w dużej mierze szwankuje właśnie świeckość państwa. Poza tym my zakładamy, że wszyscy Polacy są nie tylko katolikami, ale też katolikami pewnej orientacji. Narzędzie wprowadzone kiedyś przez Henriego Bergsona, opisujące dwa typy społeczeństw, zamkniętego i otwartego, uważam za wciąż bardzo użyteczne. Poszedłbym jednak dalej, twierdząc, że jest coś takiego jak mentalność zamknięta i otwarta, która generuje religijność zamkniętą i religijność otwartą. Natomiast w Polsce, poza krótkimi okresami, w których była szansa, że taka religijność otwarta się narodzi – w środowisku „Tygodnika Powszechnego" Jerzego Turowicza, „Znaku" czy „Więzi" – absolutnie się to nie udało. Środowiskom tym nie udało się przebić, bo były skierowane do pewnej elity społecznej, inteligenckiej elity społecznej. Nie przebiły się do religijności ludowej.

Nie mam tu na myśli obrzędowości ludowej, lecz pewien typ mentalności niezdolnej do autokrytyki, do oddzielenia tego o czym my tutaj mówimy, czyli sumienia od autorytetu władzy, myślenia krytycznego od kompletnie bezwolnego posłuszeństwa itd.

W społeczeństwach europejskich nie jest możliwe. Gdy jestem w kościele we Francji, to tam zaangażowana jest wspólnota. To wspólnota śpiewa, współpracuje, wspólnota organizuje życie religijne. Natomiast w Polsce, poza wyjątkami, jest kompletna bierność. W Polsce mam poczucie, że nie jestem traktowany jak światły, krytycznie myślący obywatele, który może coś wnieść we wspólnotę religijną, ale jako wieczne dziecko, które musi być zarządzane, kierowane i poddane autorytetowi władzy. Tu świetnie rozwija się religijność zamknięta, powiązana z podejrzliwością, z rozmaitymi resentymentami. Tylko tu mogą paść takie stwierdzenia, jak w wielkopolskim Stróżewie, gdzie ksiądz proboszcz wybranemu legalnie wójtowi powiedział, że przez swój start w wyborach z ramienia Koalicji Obywatelskiej, sytuuje się poza kościołem.

Z drugiej strony mamy ewidentne nadużycie wiary przez polityków. Przystępują do eucharystii po czym wychodzą na ulice albo do sejmu i zioną nienawiścią. Nie spotkałem się z jakimikolwiek przykładami potępienia polityka, czy figury państwowej przez biskupa czy księdza proboszcza. Tu dochodzimy do samej istoty, bo jeśli mówimy o świeckim państwie i o zainfekowanym politycznie Kościele, to o jakim kościele tak naprawdę mówimy? Czyim Kościele? Księdza Lemańskiego, księdza Adama Bonieckiego, „Tygodnika Powszechnego", a może chodzi o Kościół ojca Ludwika Wiśniewskiego? Czy to oni są twarzą Kościoła, czy raczej jest nią ksiądz arcybiskup Głódź, który w Gdańsku wręcza pierścień Inki Prezesowi Telewizji Polskiej i kropi wodą święconą instytucję uprawiającą propagandę polityczną i sakralnie ją legitymizuje?

Kiedy rozmawiam z dwudziestokilkulatkami, młodymi ludźmi pochodzącymi często właśnie nie z dużych miast, ale z mniejszych ośrodków, wskazują, że ten problem ich dotyczy. Mówią, że nie widzą Kościoła dla siebie, takiego, do którego mogliby przyjść, w którym jakoś by się odnajdywali. Z drugiej strony nie pociąga ich świeckość, bo nikt ich tej świeckości nie nauczył. Dla nich istnieją często takie kalki, wedle których albo jest się katolikiem, co oznacza, że w domu się chodzi z mamą, babcią na mszę, niejako z przyzwyczajenia, albo dla „świętego spokoju", albo jest się ateistą, ale wtedy jest to równoznaczne z negacja jakichkolwiek wierzeń. Jasne, że świadomość wzrasta, ale wciąż pokutują u nas, często wykluczające, stereotypy.

To prawda ...

Problem polega na tym, ze świeckość, czy laickość, nie istnieje w ich świadomości, nie jest zaszczepiana, albo wręcz jest pokazywana jako zagrożenie dla tradycyjnego modelu życia.

To prawda. W Polsce bardzo trudno będzie się przebić z modelem świeckiego państwa, ponieważ dla większości ludzi wierzących taki model będzie oznaczał państwo ateistyczne, lewackie, państwo pozbawione pewnych wartości itd. Przynajmniej takie opinie usłyszą od przedstawicieli Kościoła instytucjonalnego. Czego to jest skutkiem? Tego w moim przekonaniu, że zniknęło w chrześcijaństwie, coś co kiedyś kardynał Neuman po ogłoszeniu przez papieża encykliki o nieomylności, ogłosił słynnym toastem, toastem na cześć sumienia. Ponieważ tym co człowiekowi, każdemu wierzącemu, a jednocześnie będącemu obywatelem społeczności politycznej powinno pomagać w rozdzielaniu tych porządków jest sumienie. Sumienie, które na przykład mnie osobiście powie, że

należy chronić życie od poczęcia, ale z drugiej strony to samo sumienie mi powie, że nie mogę, nie mam prawa, żadnej kobiecie urządzać życia za pomocą ustaw sejmowych. To czy ona to dziecko urodzi, czy nie, to nie jest kwestia prawna, którą powinno się odgórnie rozporządzać. Jeśli jestem politykiem, to sumienie z jednej strony każe mi chronić moje wartości, ale z drugiej strony każe mi przyjmować takie prawo, w którym obywatele inaczej myślący, wyznający inne wartości, będą mogli się odnaleźć. A zatem tworzyć państwo, w którym każdy poczuje się u siebie.

Tylko, że jeśli my nie odwołujemy się do sumienia, to albo będziemy podlegali radykalnemu posłuszeństwu władzy, która nam będzie dyktowała co mamy myśleć, kto jest prawym katolikiem, albo nie. Kto, jak mówił pan premier, kocha bardziej, bo jeździ do Torunia, a kto nie kocha tej ojczyzny... Z drugiej strony, jeśli temu sprawstwu posłuszeństwa nie będziemy podlegali, to tak naprawdę nam pozostaje tylko ateizm. W moim przekonaniu droga do oddzielenia Kościoła i państwa, droga do świeckiego państwa musi iść przez przywrócenie pracy nad polskimi sumieniami. Pytanie tylko kto to ma zrobić...

W tym miejscu znów pojawia się nam ustawa. Już nie konkordat, czy inne akty prawne, które miałyby regulować kwestie światopoglądowe, ale ustawa dotycząca właśnie świeckiego państwa. Projekt ogłasza Barbara Nowacka, podpisy zbiera między innymi Kongres Świeckości, inicjatywie wtórują ludzie z różnych środowisk. W optymistycznych założeniach ustawa taka miałaby przejść przez sejm, wejść w życie i, niczym czarodziejska różdżka, wprowadzić nam świeckie państwo. Zastanawiam na ile takie inicjatywy mają szanse powodzenia, nawet nie w sensie legislacyjnym, ale w powszechnym myśleniu Polaków.

Powiedziałbym, że przede wszystkim Kościół hierarchiczny powinien zrozumieć, że w jego własnym interesie, dla jego dobra, dla dobra Ewangelii, taka inicjatywa oddzielenia się od władzy, od państwa, od polityki, leży w jego interesie. Taka inicjatywa powinna wyjść z wnętrza Kościoła, od ludzi zaangażowanych w religię, wierzących, bo wtedy rozdział, jeżeli to nastąpi, będzie przyjazny. Państwo wróci wówczas do swoich naturalnych funkcji, nie będzie musiało legitymizować się przez wiarę, a z drugiej strony Kościół będzie miał szansę na powrót do chrześcijaństwa ewangelicznego. Tylko to się nie może udać, bez odbudowy autorytetów, wiary rozumianej jako świadectwo, ale i autorytetów z drugiej, tej świeckiej strony. Mam absolutne przekonanie, bo to dotyczy nie tylko kwestii wiary, ale w ogóle całej struktury społecznej, tam gdzie nie ma autorytetów tam dominuje prawo i władza.

Dziękuję za rozmowę! ◉

DR MAGDALENA M. BARAN

Filozof i historyk idei. Z-ca redaktora naczelnego *Liberté!*.

„Tak umierają demokracje"

Dwa lata temu książka tego typu nie powstałaby: dwójka wiodących politologów, ekspertów w zakresie kryzysów demokracji w różnych częściach świata, wykorzystuje swoją wiedzę do tego, by uświadomić Amerykanom zagrożenia, przed jakimi obecnie stoi ich własny system polityczny.

Francis Fukuyama

Levitsky i Ziblatt to wiodący badacze systemów demokratycznych, opisują przykłady z wielu zakątków świata, z ogromnym zapałem i uczciwością wykorzystują swoją wiedzę do analizowania bieżących problemów, z jakimi borykają się Stany Zjednoczone. (...) Dzięki temu Czytelnik nie tyko odczuwa intelektualne podekscytowanie, lecz także jest świadom zawartej w tej książce politycznej przestrogi.

Timothy Snyder

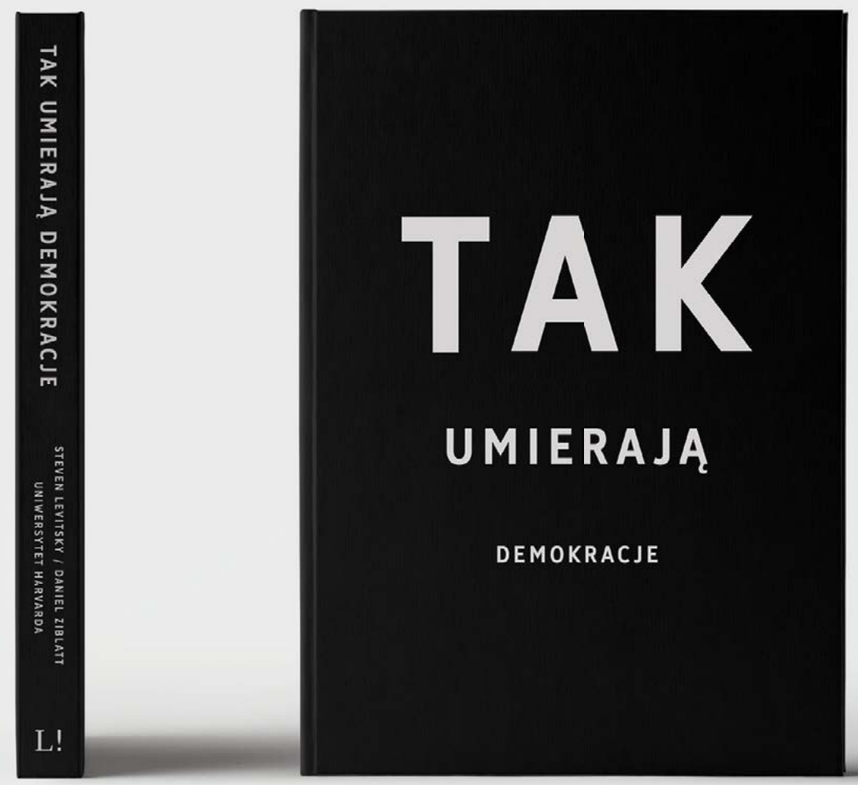

BIBLIOTEKA LIBERTÉ!

L!

Kup bezpośrednio: sklep.liberte.pl

MATKI+: NA PLUSIE CZY NA MINUSIE?

Z PROF. MARKIEM GÓRĄ ROZMAWIA AGNIESZKA KOŻAŃSKA

Agnieszka Kożańska: Od niedawna mamy ustawę o emeryturach matczynych. Jak ocenia Pan tę propozycję pod kątem zasadności, możliwości realizacji, w perspektywie całego systemu zabezpieczenia społecznego, a także jej konsekwencji dla budżetu państwa?

Prof. Marek Góra: Tu nie chodzi tylko o budżet, chodzi o ludzi. Budżet jest jedynie narzędziem. Pamiętajmy przy tym, że propozycja dotyczy systemu emerytalnego, nie zaś całego systemu ubezpieczeń społecznych. System emerytalny został w ich zakresie wydzielony w 1999 roku.

Był pan współtwórcą tych reform, prawda?

Tak. Od tego właśnie zaczęliśmy. System działa już od 20 lat i sprawuje się całkiem dobrze. Było w tym czasie parę ingerencji, niektóre bardzo niedobre, ale z punktu widzenia ludzi żadna z nich nie zmieniła jego zasadniczego sposobu funkcjonowania. I dobrze.

Istotą wspomnianych zmian była ochrona dochodów pokolenia pracującego. Wbrew intuicyjnemu przeświadczeniu system emerytalny jest dla pokolenia pracującego, a nie dla emerytów. Zasadnicze jest utrzymanie balansu pomiędzy finansowaniem konsumpcji ludzi w wieku starczym (nota bene, o taki właśnie wiek powinno w emeryturach chodzić), a obciążeniem pokolenia pracującego (pracowników i przedsiębiorców). Bo to jedyne źródło środków, które mogą być przeznaczone na finansowanie emerytur. Dotyczy to każdego typu systemu.

W efekcie, im więcej obiecamy ludziom w wieku podeszłym, tym mniej pozostanie na opłacenie tych, którzy tworzą PKB.

Czy matkom, które rodzą i wychowują przyszłych podatników, nie należą się z tego względu jakieś przywileje?

Przywileje nie należą się nikomu. Potrzebne jest natomiast mądre wsparcie tych, którzy takowego wymagają. Wsparcie matek dobrze nam się kojarzy. Co ważne można wskazać, że wychowywanie większej liczby dzieci może ograniczać funkcjonowanie na rynku pracy, co z kolei oznacza mniejsze środki odłożone przez kobiety na emeryturę.

Są dwa sposoby złagodzenia tego problemu. Oba funkcjonują w ramach systemu emerytalnego od 1999 roku. Pierwszy to opłacanie przez pracujące społeczeństwo (za pośrednictwem budżetu) składek za matki na urlopach macierzyńskich i rodzicielskich. Można oczywiście dyskutować o ich wysokości oraz okresie przez jaki są płacone. Drugi to dopłacanie przez pracujące społeczeństwo do emerytury osób, które nie uzbierały środków na poziomie uznanym za minimalny. W tym przypadku kobieta musi jednak (spełnić wymóg 25 lat uczestniczenia w systemie emerytalnym.

Przywileje nie należą się nikomu. Potrzebne jest natomiast mądre wsparcie

Projekt „emerytur matczynych" sprowadza się do zniesienia tego wymogu stażowego dla matek co najmniej czworga dzieci. Czy to pomysł dobry, czy

nie, to faktycznie dyskusyjne, ale wiele szumu medialnego, jaki wytworzył się wokół tego projektu ma charakter wybitnie PR-owy. Po prostu złagodzenie jednego z wymogów uprawnienia do uzyskanie dopłaty do emerytury minimalnej „sprzedaje" się gorzej niż „wprowadzenie" emerytur dla matek.

Tak czy inaczej to rozwiązanie, które będzie nas kosztować. Politycy starają się stworzyć wrażenie, że to oni finansują ten koszt. To oczywiście nieprawda. Finansujemy go my, pracujący Polacy. Dlatego tym bardziej, przy pełnym uznaniu celu, jakiemu ma służyć, należy zapytać, czy jest to rozwiązanie najlepiej służące temu celowi, a nie tylko propagandzie wyborczej i celom ideologicznym.

Są matki, które z proponowanych emerytur skorzystają już teraz.
Tak, ale to cel doraźny, niemający niczego wspólnego z systemem emerytalnym.

Widzę cztery cele wprowadzenia tego rozwiązania. Pierwszy to oczywiście wsparcie kobiet już dziś w wieku emerytalnym, które urodziły przynajmniej czworo dzieci. To raczej specyficzny rodzaj pomocy społecznej. Nie powinniśmy go mylić z systemem emerytalnym. Drugi cel ma charakter wyborczy. Ma to się ludziom dobrze kojarzyć. Trzeci, to zachęta do rodzenia dzieci, co akurat pozbawione jest uzasadnienia. Czwarty cel jest ideologiczny: chodzi o propagowanie konserwatywnego modelu rodziny, w którym kobiety są wypychane z rynku pracy i mają „siedzieć" w domu.

Tylko czy emerytury matczyne faktycznie mogą wywrzeć na to jakikolwiek wpływ?
Myśląc o wsparciu dla matek można to widzieć na dwa różne sposoby. Pierwszy to finansowanie różnych form wsparcia dochodowego pozwalającego matkom wycofać się z aktywnego życia zawodowego. Drugim sposobem jest sfinansowanie matkom (rodzinom) różnego rodzaju wydatków na usługi okołorodzinne, pozwalające im skutecznie łączyć rodzicielstwo z pracą.

Obietnica zawarta w projekcie emerytur matczynych nie zadziała w żadnym ze wskazanych przypadków. Wynika to z bardzo długiego okresu między wiekiem (nawet późnym) rodzenia dzieci, a wiekiem przejścia na emeryturę. To około dwóch dziesięcioleci lub więcej. W takiej perspektywie nie wkalkulowuje się w swoje decyzje, szczególnie tak fundamentalne jak rodzenie dzieci, odległych obietnic politycznych.

Mam bardzo sceptyczny stosunek do emerytur matczynych, tym niemniej nie należy go łączyć z brakiem poparcia dla wspierania matek wielodzietnych. Jestem wobec nich pełen szacunku i sądzę, że należy rozważyć dla nich jakieś dobre, systemowe, rozwiązanie. Trzeba to jednak zrobić uczciwe, przy okazji nie robiąc ludziom wody z mózgu. Pamiętając o tym, że zawsze jest coś za coś. Może byłoby lepiej, gdyby więcej zainwestować właśnie w te dzieci: w dobrą szkołę, z dobrze opłacanymi nauczycielami, w odpowiednio finansowaną ochronę zdrowia, czy ogólnie w szersze możliwości rozwoju ich kapitału ludzkiego.

Takiej refleksji brakuje?
To chyba nie tyle brak samej refleksji, ale raczej świadome promowanie konserwatywnego modelu rodziny, w którym matka nie pracuje i zostaje z dziećmi.

Może byłoby lepiej, gdyby więcej zainwestować w dzieci

Raz, że jest to z definicji matka, a nie ojciec, a dwa, że marginalizuje się znaczenie opieki instytucjonalnej typu przedszkola. Są poważne badania jasno pokazujące bardzo istotną rolę przedszkola dla kształtowania bazowego kapitału ludzkiego dzieci. Dotyczy to przede wszystkim dzieci z mniej zamożnych rodzin. Nic oczywiście nie zastąpi rodzicielskiej miłości i zainteresowania, ale dla rozwoju dziecka przedszkole stanowi istotne uzupełnienie. Program Matka+ i jemu podobne to przykład wyraźnie konserwatywnego myślenia, w którym te przedszkola są mniej ważne, a dziećmi mają zajmować się matki. A politycy już o te matki jakoś w przyszłości zadbają. Albo i nie.

Zacznie lepszym modelem niż siedzenie dzieci w domu ze zdezaktywizowaną mamą jest sytuacja, w której matka mogłaby łączyć te dwie funkcje, przy dużym wsparciu instytucjonalnym, zarówno na poziomie lokalnym, jak i państwowym. To dotyczy także ojców. Moim marzeniem jest na przykład, by każde dziecko w Polsce miało za rogiem dobrze wyposażone przedszkole, prowadzone przez kompetentny i przyzwoicie opłacony personel, w którym

dzieci są także żywione, do którego może chodzić bez konieczności płacenia za nie, i do którego dziecko nie musi być specjalnie dowożone. A to kosztuje. I jeśli wydamy pieniądze na inne rzeczy, to na takie przedszkola już nie wystarczy. Teraz powinno paść pytanie co jest ważniejsze. To oczywiście szersza kwestia dotycząca nie tylko i nie przede wszystkim programu Matka+.

Zatem propozycja ta nie wprowadza żadnych zmian systemowych. Do tego pojawiają się zarzuty, że emerytury matczyne utrwalą tylko strukturalną biedę tych kobiet. Wysokość proponowanych świadczeń jest przecież na granicy nędzy. Oznacza to zatem trzymanie tych kobiet na swego rodzaju smyczy.

Gdyby to rozwiązanie okazało się skuteczną zachętą do pozostania kobiet poza rynkiem pracy, to okazałoby się to dla nich pułapką. W zamian za niepewną obietnicę dotyczącą tego, co będzie za kilka dziesięcioleci, skazałyby się na niższy poziom życia dzisiaj (bo nie zarabiają) i niskie świadczenia w przyszłości.

W zamian za niepewną obietnicę tego, co będzie za kilka dziesięcioleci, kobiety mogą być skazane na niższy poziom życia dzisiaj i niskie świadczenia w przyszłości

A dodatkowo nie będzie można do tego skromnego świadczenia dorabiać. Pojawiają się także obawy co do zasad ustalania możliwości otrzymywania świadczenia, co do kryteriów oceny na ile rzeczywisty podział obowiązków w rodzinie odpowiadał modelowej sytuacji przyjęcia na siebie ciężaru wychowania dzieci przez matkę.

Gorzej. Jest to pośrednie nakłanianie, by mężczyzna tego udziału w wychowaniu dzieci nie miał.

A co z matkami, które mają mniej niż czwórkę dzieci i godzą tę rolę z życiem zawodowym?

Warto tutaj spojrzeć na przykład Francji i Niemiec. Francuzki rodzą dzieci, a Niemki nie. Kraje tak bardzo podobne pod względem rozwoju instytucjonalnego, podobne pod względem ogólnego poziomu dobrobytu, mają zupełnie inne zachowania demograficzne. Otóż Francuzki dysponują kulturowym wzorcem i instytucjonalnym wsparciem, by łączyć role rodzicielskie i zawodowe. Niemki natomiast jeszcze do niedawna operowały w schemacie 3K: *Kinder, Küche, Kirche*. Chcąc się z niego wyłamać, po prostu nie rodzą dzieci, żeby nie zostać wypchnięte z rynku pracy. W tym samym czasie Francuzka nie boi się rodzić dzieci, bo wie, że nie odbędzie się to kosztem jej życia zawodowego. Skutki widzimy w zestawieniu francuskich i niemieckich wskaźników dzietności.

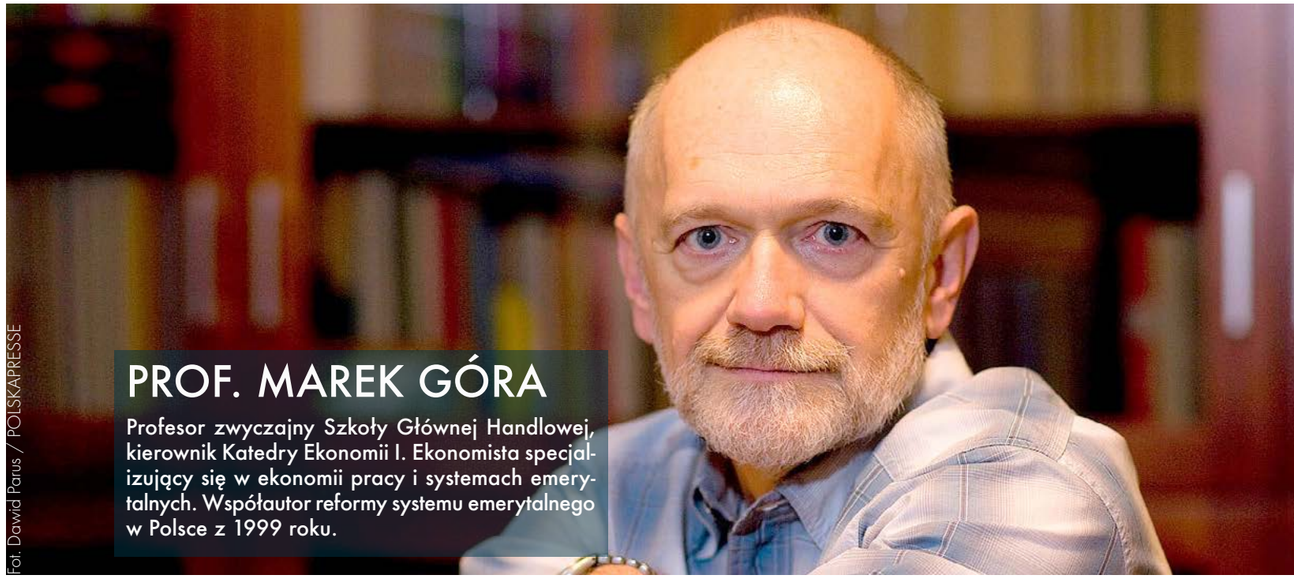

Fot. Dawid Parus / POLSKAPRESSE

PROF. MAREK GÓRA

Profesor zwyczajny Szkoły Głównej Handlowej, kierownik Katedry Ekonomii I. Ekonomista specjalizujący się w ekonomii pracy i systemach emerytalnych. Współautor reformy systemu emerytalnego w Polsce z 1999 roku.

Pod tym względem jesteśmy bardzo niemieccy. Tak instytucje, jak i ogólne nastawienie społeczne.

Jestem zdecydowanym zwolennikiem tego, by wspierać ludzi w trakcie ich życia zawodowego, zamiast obiecywać im gruszki na wierzbie w zamian za wycofanie się z niego.

Robert Biedroń zaproponował właśnie emeryturę dla każdego, gwarantowaną po osiągnięciu wieku emerytalnego. Co o tym myśleć?

Taka propozycja pojawia się co jakiś czas, i z lewa, i z prawa. Oceniam ją jako rozwiązanie zdecydowanie niedobre. Przerzuca ono bowiem finansowanie emerytur z oszczędności na podatki. A podatki są pod tym względem znacznie gorsze. Lepiej jest oszczędzać.

Tak jak mówiłem na początku, obecny system emerytalny ma na celu ochronę dochodów młodych. Narzędziem tej ochrony było właśnie zastąpienie finansowania podatkowego (poprzedni, zlikwidowany w 1999 r. system) finansowaniem oszczędnościowym (obecny system). Naświetlenie istoty mechanizmu wymagałoby szerszego wywodu ekonomicznego. Ograniczmy się zatem do stwierdzenia, że uczestnictwo w systemie zostało zindywidualizowane (nie mylić z prywatyzacją) i każdy dostanie z systemu tyle, ile do niego włożył, plus procent.

1600 złotych dla każdego – brzmi to jednak pięknie.

Jest kilka fundamentalnych defektów takich propozycji. Po pierwsze to, co byłoby przez ludzi oczekiwane, jest zdecydowanie powyżej tego, co jest finansowalne. Na tym generalnie polega ułomność wszelkich programów typu dochodu gwarantowanego. Ten pomysł nie ma po prostu jak się zrealizować. Nie ma co wspominać o tym, że wymagałoby bolszewickiego zabrania już nabytych praw emerytalnych (stanu indywidualnych kont). Ile bowiem miałby dostać ktoś, kogo emerytura obliczona na podstawie zakumulowanego kapitału wynosiłaby na przykład 1700 zł?

Pamiętajmy, że systemy emerytalne tworzone były w czasie, gdy ludzie średnio nie dożywali pięćdziesiątki. Wiek emerytalny na poziomie najpierw 70, a później 65 lat został wymyślony w XIX wieku. Gdybyśmy mieli to przenieść na dzisiejsze czasy, zaktualizowany wiek emerytalny należałoby ustawić na jakieś 90, a co najmniej 80+ lat. Gdyby takie „biedroniowe" 1600 zł (finansowane podatkowo) nawiązywało do tej tradycji i dotyczyło osób powiedzmy 85+, to mogłoby być niezłym rozwiązaniem szczególnie w kontekście rosnącej potrzeby bezpośredniego finansowania przez ludzi starych usług opiekuńczych. W takim przypadku warto byłoby wrócić do dawnej nazwy „renta starcza" na określenie takiego, potrzebnego społecznie świadczenia. Natomiast przy wieku emerytalnym nawet 70 lat system emerytalny to po prostu system alokacji dochodu w cyklu życia, czyli zindywidualizowany system oszczędnościowo-ubezpieczeniowym – taki, jaki mamy w Polsce. Emerytura nie jest po to, żeby ją mieć wtedy, kiedy nie jesteśmy jeszcze starcami. Pamiętajmy, że sami za nią płacimy pomniejszeniem naszych dochodów netto w młodości. Jest potrzebna wtedy, gdy wymagamy wsparcia, bo jesteśmy niedołężni. Jednakże obietnica renty starczej nie jest politycznie nośna. Ale emerytura dla wszystkich niezależnie od czegokolwiek lepiej się wyborczo „sprzedaje". Gdy mamy ją zagwarantowaną stosunkowo wcześnie, tracimy motywację do zwiększania, a przynajmniej do podtrzymywania swojego kapitału ludzkiego. Jednak nieuchronnie w nieodległej przyszłości będziemy pracować dużo dłużej niż dzisiaj. Wiek lat 50-ciu będzie niemal środkiem kariery zawodowej.

Wyzwaniem w kontekście dochodów emerytalnych jest wydłużenie okresu aktywności ekonomicznej. Pomysł Biedronia zaciemnia tę perspektywę

Takie podejście skutecznie niszczy wszelkie motywacje by samemu o siebie zadbać. Do dyskusji włączyliby się teraz pewnie zwolennicy dochodu podstawowego, bo przecież w tym duchu postawiona jest propozycja Biedronia. Bez wątpienia jest to jednak marnotrawstwo, bo świadczenie należałoby się również tym, którzy go w ogóle nie potrzebują.

Ale największym wyzwaniem, przed którym stoimy w kontekście naszych dochodów emerytalnych, jest wydłużenie okresu aktywności ekonomicznej. Pomysł Biedronia zaciemnia tę perspektywę – to defekt trzeci, w moim rozumieniu najważniejszy.

Żeby móc dłużej pracować, trzeba dostosowywać swoje kwalifikacje do zmieniających się potrzeb rynku pracy. Nie wystarczy mieć kwalifikacje wysokie. One muszą być komuś potrzebne, a nie przeterminowane. Trzeba też zadbać o swoje zdrowie. Ono w ogromnym stopniu zależy od nas samych. Dbałość o wyprzedzające dostosowywanie kwalifikacji oraz dbałość o zachowanie zdrowia wymaga wysiłku. Jeżeli ma się perspektywę w miarę nieodległego czasowo uzyskania jakiegoś świadczenia, to nawet jeśli ono nie jest wysokie motywacja spada. Skutkiem tego spada także nasz ludzki kapitał, a co za tym idzie zatrudnialność. Gdy się więc okaże, że pracować dłużej jednak trzeba – a okaże się – to będzie ciężko. Podobny efekt do niewprowadzalnego w praktyce „biedroniowego" ma niestety nie tak dawne obniżenie minimalnego wieku emerytalnego. Jego skutkiem, poza doraźnym kosztem fiskalnym, będzie wpędzenie w biedę wielu przechodzących na emeryturę za szybko, a tych, którzy już nie będą mogli przechodzić na emeryturę w tak absurdalnie niskim wieku – a to nastąpi szybciej niż może wydawać – uczyni trudno zatrudnialnymi na skutek zaniedbania przez nich myślenia o sobie jako o aktywnych zawodowo w wieku 60/65+.

Przed wyborami politycy obiecują różne rzeczy. Prawdziwym nieszczęściem jest jednak, gdy później rzeczywiście to realizują, bo to jest bardzo kosztowne dla społeczeństwa.

Mamy w obiegu jeszcze jeden projekt – pracownicze plany kapitałowe, czyli dobrowolny, w pełni prywatny system długoterminowego oszczędzania, współfinansowany przez pracodawców, samych pracowników oraz przez państwo. Jak pan go ocenia?

To rozwiązanie nie jest warte dziesiątej części szumu, który wokół niego się odbywa. Wielkiego pożytku z PPK nie będzie. Jeżeli, to dla lepiej sytuowanych Polaków. Będzie natomiast koszt dla społeczeństwa. Środki, którymi rząd dofinansuje to rozwiązanie, będą i tak pochodzić z naszych podatków. To te same pieniądze, którymi nie dofinansuje się ochrony zdrowia, czy edukacji. Z PPK skorzystają ludzie lepiej sytuowani, a zapłacą za to wszyscy.

Wszystkie trzy krótko omówione rozwiązania są ciekawostkami, ale mają raczej charakter gadżetów politycznych niż narzędzi rozwiązywania poważnych problemów społecznych.

Dziękuję za rozmowę. ◉

AGNIESZKA KOŻAŃSKA
Współpracowniczka redakcji *Liberté!*.

RYNEK NASZEJ WOLNOŚCI

TOMASZ KASPROWICZ

Szczęściem dla liberałów jest to, że nauka jaką jest ekonomia dowodzi, iż w przytłaczającej części przypadków wolność gospodarcza daje najlepsze efekty.

Ostatnie dekady to czas niezwykłego sukcesu liberalizmu właściwie na wszystkich polach. Jakkolwiek stan obecny w wielu miejscach i zakresach daleki jest od ideału, ale niewiele jest miejsc, gdzie nie byłoby liberalniej niż 40-50 lat temu. Po śmierci Fidela Castro, powolutku, ale jednak, transformuje się nawet Kuba. Największy ruch w stronę liberalizmu (gdy idzie o liczbę osób, jakich to zjawisko dotyczy) stanowi jednak przypadek chiński, któremu wciąż bardzo daleko do ideału, ale i tak w porównaniu z sytuacją z lat 70-tych wydaje się liberalnym rajem. Żyjemy dziś w świecie bogatszym i równiejszym niż kiedykolwiek wcześniej. Porównując tylko ostatnich dziesięć lat widzimy, że odsetek osób żyjących w skrajnym ubóstwie spadł z 18,1% do 8,6%, śmiertelność dzieci zmniejszyła się z 5,8% do 3,9%, analfabetyzm wśród młodych to już nie 11,3% a 8,6%, zaś oczekiwana długość życia wzrosła z 69,8 do 72,2 lat. Wszystkie te statystyki uległy poprawie w ostatnich latach, w okresie największego kryzysu gospodarczego od czasów Wielkiej Depresji. Wygląda na to, że liberalne rozwiązania ratują świat.

Oczywiście profity z liberalizacji nie rozkładały się równo. Liberalizacja zawsze uderza w grupy osób czerpiących największe korzyści z pewnych rent, które ona niszczy. Jedną z takich grup jest zachodnia klasa średnia, która została wystawiona na konkurencję międzynarodową. Ale nawet ona nie pogorszyła swojego stanu, co najwyżej widoczna powszechnie poprawa była dla niej niezadowalająca. Kto skorzystał najwięcej? Ci, którzy liberalizm najszybciej adoptowali. I jakoś nie krwawi moje serce na wieść, że kosztem trzeciego samochodu w gospodarstwie domowym Amerykanina, z biedy wydobyły się miliony mieszkańców Azji. Gdy idzie o widoczne efekty, to niekwestionowanym liderem globalnym jest tu Polska. Żaden większy kraj w warunkach otwarcia gospodarczego nie dokonał takiego przeskoku cywilizacyjnego tak szybko. To jeden z powodów, dla których zachodnie idee lewicowe tak słabo przebijają się do Polski. Dyssatysfakcja Polaków nie wynika bowiem ze stagnacji dochodów, ale z tego, że jeszcze nie dogoniliśmy światowych liderów takich jak Niemczy czy Szwecja – co, przyznajmy jest ambitne, ale w takim horyzoncie czasowym niewykonalne. Ów brak zadowolenia nie dziwi u młodszego pokolenia, które nie pamięta realiów lat 80-tych i nie wie, że do czynienia porównań właściwymi krajami są Ukraina czy Węgry, ale zastanawia u starszych liberałów, którzy postanawiają przepraszać za oszałamiający sukces.

Nie krwawi moje serce na wieść, że kosztem trzeciego samochodu w gospodarstwie domowym Amerykanina z biedy wydobyły się miliony mieszkańców Azji

Od czasów kryzysu finansowego siły antyliberalne nabrały wiatru w żagle. Ich problemem jest jednak fakt, że walka z biedą, przez lata ich sztandarowe hasło, okazuje się nieaktualna. Pozostaje im skupianie się na

nierównościach, które mają jawić się jako największy świata... Podpierają się przy tym monumentalną pracą Pickety'ego (z postawionych w niej wniosków wycofał się już nawet sam autor) oraz wątpliwymi metodologicznie raportami Oxfam. Wydaje się, że lewica wolałaby wrócić do równiejszych czasów nawet jeśli miałoby to oznaczać, że bieda jest znacznie powszechniejsza.

Są jednak wśród liberałów siły, którym sukces wyraźnie uderzył do głowy i którym wydaje się, że wolny rynek jest siłą zdolną rozwiązać wszelkie problemy. Rzeczywiście, szczęściem dla liberałów jest to, że nauka jaką jest ekonomia dowodzi, iż w przytłaczającej części przypadków wolność gospodarcza daje najlepsze efekty. Wcale nie jest oczywiste dlaczego się tak dzieje i czemu argumenty przemawiające za centralnym planowaniem kiedyś bardziej przekonywały decydentów. Jednak ekonomia wyraźnie wskazuje też czynniki warunkujące takie, a nie inne procesy. Kiedy warunki te nie są spełnione rola państwa okazuje się często kluczowa i o tym liberałowi zapominać nie wolno.

Po pierwsze informacja, bo żeby podejmować racjonalne decyzje trzeba mieć ku temu podstawy. Transakcje rynkowe mają zwykle dwie strony i jeśli jedna z nich dysponuje informacjami znacząco lepszymi niż druga, to może je wykorzystać na niekorzyść partnera – mówimy tu o asymetrii informacji. Oczywiście takie sytuacje zdarzają się codziennie, ale ale póki dotyczą wyizolowanych przypadków, nie stanowią jeszcze problemu. Gorzej gdy zjawisko to zaczyna dotyczyć całego systemu. Najlepiej wytłumaczył to Akerlof wykorzystując przykład używanych samochodów. Zastanawialiście się czemu kiedy wyjeżdżamy samochodem od dealera niemal automatycznie traci on znaczną część swojej wartości? To wynik właśnie asymetrii informacji – sprzedający wie czy jego samochód ma usterki, kupujący nie. Oczywiście osoba sprzedająca gruchota po wypadku nigdy się do tego nie przyzna, zatem kupujący musi wliczyć tą ewentualność (ryzyko) w cenę jaką jest gotowy zapłacić. Jeśli zaś jest gotów zapłacić cenę stosunkowo niską to właściciele najlepszych aut nie będą ich chcieli sprzedać i wycofają się z rynku. Kupujący o tym wiedzą – zatem szanse, że oferowane auto jest świetne oceniają jeszcze niżej – i adekwatnie dalej obniżają cenę. I tak w kółko aż na rynku pozostają same graty, których nikt nie chce kupić.

Przy wycenie ubezpieczenia zdrowotnego kluczowy jest stan zdrowia delikwenta, tego zaś ze względu na ochronę prywatności nie da się obiektywnie ocenić

Oczywiście w przypadku używanych aut – pomimo opisanych problemów – sytuacja nie wygląda aż tak źle. To dlatego, że da się obiektywnie (przynajmniej do pewnego stopnia) określić stan techniczny pojazdu. Prawdziwe problemy pojawiają się kiedy nie jest to możliwe, a tak się zdarza i to co gorsza na kluczowym dla nas rynku, w służby zdrowia.

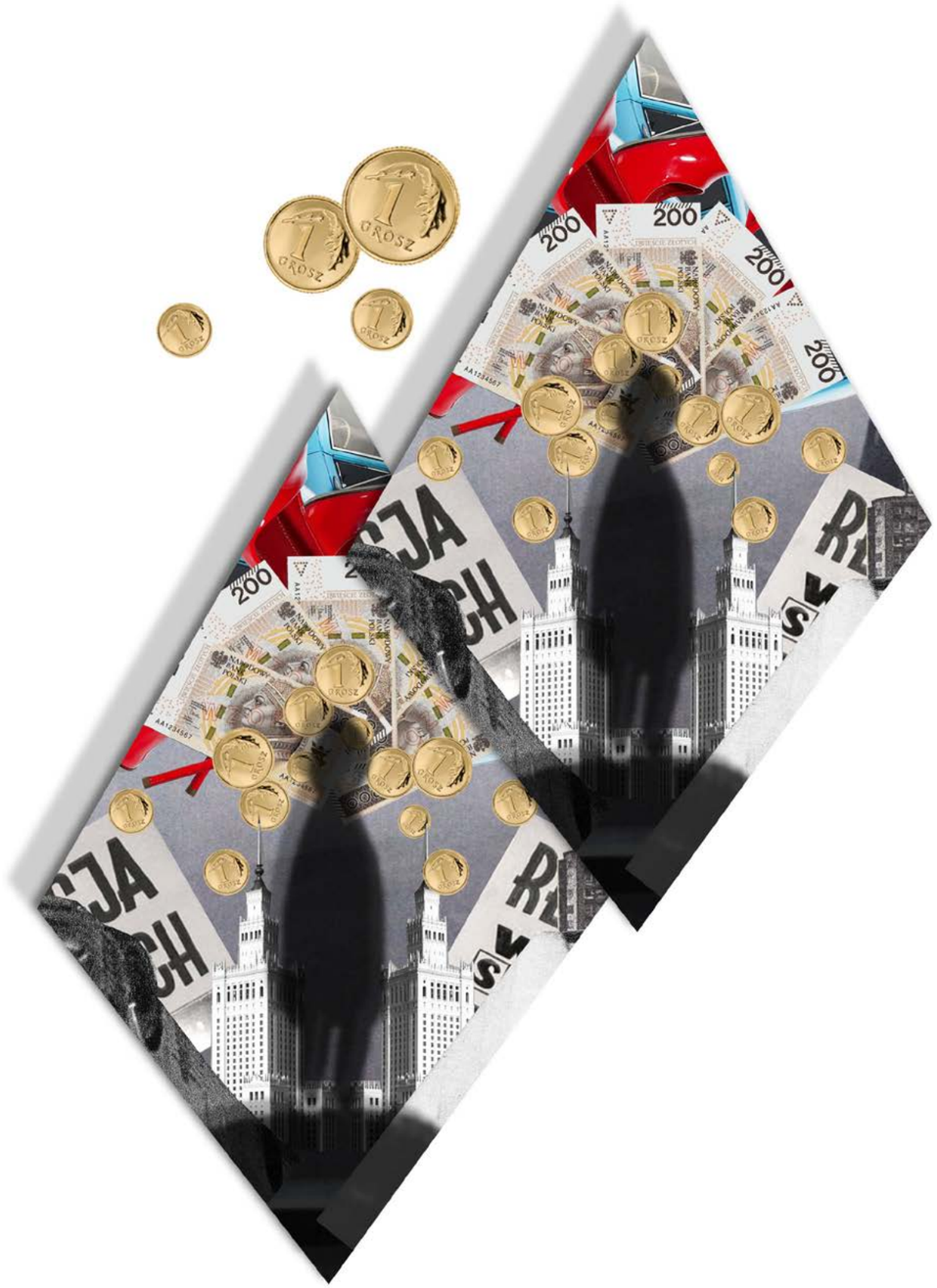

System służby zdrowia właściwie wymusza ubezpieczenia. Potencjalna poważna choroba to wydatek jakiej prawie nikt nie jest w stanie udźwignąć, stąd też transfer i dzielenie ryzyka staje się koniecznością. Przy wycenie ubezpieczenia zdrowotnego kluczowy jest stan zdrowia delikwenta, tego zaś ze względu na ochronę prywatności nie da się obiektywnie ocenić. W warunkach wolnego rynku najzdrowsi stwierdzają zatem, że ubezpieczenia są dla nich za drogie. W efekcie na rynku zostają najbogatsi i najbardziej chorowici.

Taką spiralę można było zaobserwować w USA, które szczyciły się najbardziej prywatnym systemem służby zdrowia na świecie, a gdzie ponad 44 miliony obywateli pozostawało nieubezpieczonych. Dopiero wprowadzenie Obamacare, upowszechniającego ubezpieczenia i zmieniającego system w kierunku europejskim, ta liczba spadła do 27 milionów. Był to niewątpliwie cios w wolny rynek, ale trzeba przyznać, że był to cios w niedziałający wolny rynek. Zniesienie *Obamacare* stało się jednym ze sztandarowych haseł prezydenta Donalda Trumpa. Mimo, że nie ma on żadnych oporów we wdrażaniu swoich pomysłów tego akurat zrobić mu się nie udało.

Inny element konieczny do poprawnego działania wolnego rynku to niskie koszty transakcyjne. Jeśli są one znaczne, wiele transakcji nie dojdzie do skutku. Właśnie z takiego powodu często nie wypalają duże prywatne projekty infrastrukturalne. Dla przykładu wybudowanie drogi oznacza konieczność negocjacji z dziesiątkami, jeśli nie setkami, właścicieli gruntu. Wystarczy kilku pieniaczy by storpedować projekt, nieuchronnie pojawi się też kilku cwaniaków, którzy będą chcieli wynegocjować znacznie większe kwoty za ostatnie działki blokujące start inwestycji. Tu przewagę okazuje się mieć państwo, wraz ze swymi instrumentami prawnymi, dzięki którym może naruszyć święte prawo własności. Naruszy je, prawda, ale... droga powstanie.

Nie wolno też zapominać o tzw. efektach zewnętrznych, które zakłócają działanie wolnego rynku. Występują one kiedy nasza transakcja tworzy koszty (lub korzyści) dla innych. Jeżeli nasze działanie szkodzi innym, a my nie wyrównujemy tych szkód, rynkowa cena nie odzwierciedla faktycznego kosztu produktu. Na przykład kiedy zastanawiamy się nad paliwem do naszego pieca chcemy znaleźć jak najtańsze rozwiązanie. Kupując paliwo najniższej jakości zapłacimy w prawdzie najmniej, ale przy okazji podtrujemy sąsiadów. To koszt, którego nie ponosimy zatem nie uwzględniamy go w naszej decyzji, co uczyni fatalne paliwo bardziej popularnym. Podobny mechanizm dotyczy papierosów, gdzie w koszcie paczki nie uwzględniamy kosztów leczenia, za które zapłaci NFZ. Dlatego w takich sytuacjach zasadnym jest obłożenie transakcji podatkiem, który doprowadzi do tego, że cena będzie odzwierciedlać także te koszty ukryte, a tym samym pozwoli nam podejmować naprawdę racjonalne decyzje. Rzecz działa również w drugą stronę – jeśli transakcje przynoszą dodatkowe korzyści społeczne warto do nich dopłacić by ludzi do nich zachęcać. Wysoka wyszczepialność oznacza niższe koszty służby zdrowia i mniejsze straty w gospodarce, stąd też warto zachęcić obywateli do szczepień na przykład poprzez stosowne dopłaty do szczepionek. Fotowoltaika zmniejsza zanieczyszczenia, dlatego również i ją warto dofinansować. I wbrew temu co mówią twardogłowi libertarianie takie działania nie oznaczają wcale zakłócania wolnego rynku, a tylko naprawiają jego niedoskonałości.

Jeżeli nasze działanie szkodzi innym, a my nie wyrównujemy tych szkód, rynkowa cena nie odzwierciedla faktycznego kosztu produktu

Oczywiście na żadnym rynku wszystkie warunki efektywności nie są zawsze w pełni spełnione. Nie można się jednak dać przekonać, że wolny rynek nigdy nie działa. Należy logicznie zważyć te niedoskonałości i spróbować określić czy uzasadniają one interwencję. Jednak liberał nie powinien takowej zawsze z góry wykluczać, bo rynek to tylko narzędzie realizowania naszej wolności, a nie jej Święty Graal. ◉

DR TOMASZ KASPROWICZ

Wiceprezes Fundacji Res Publica, członek redakcji Res Publica Nowa i *Liberté!*, wykładowca akademicki z doświadczeniem na trzech kontynentach, przedsiębiorca działający w brany IT.

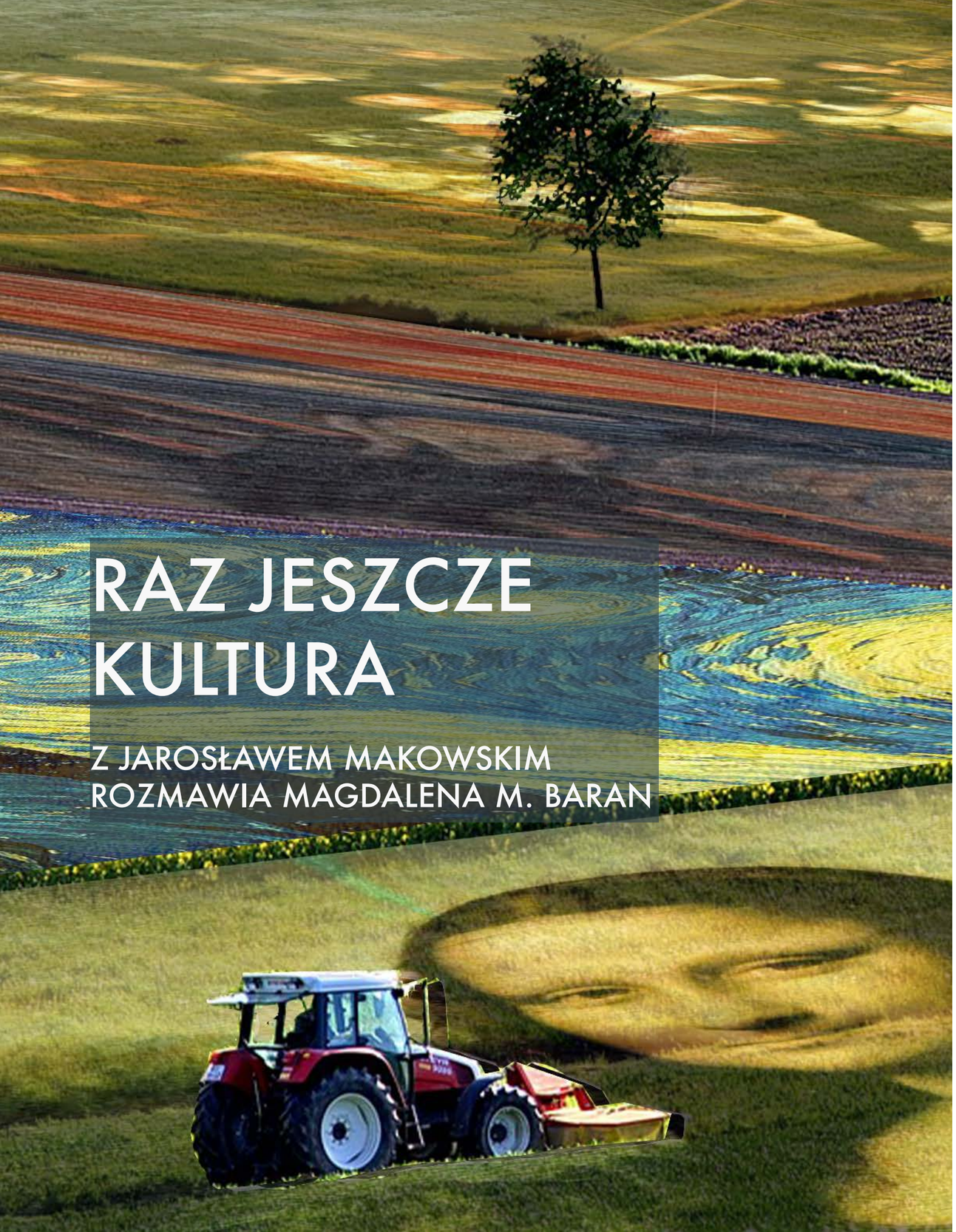

RAZ JESZCZE KULTURA

Z JAROSŁAWEM MAKOWSKIM ROZMAWIA MAGDALENA M. BARAN

Magdalena M Baran: Gdy pada termin „kultura" pozornie wszyscy wiedzą o co chodzi, ale trudno nam ją jednoznacznie określać. Czy nie jest tak, że intuicyjnie wyczuwamy o co chodzi, potrafimy wskazać, ale gdy przychodzi do szczegółów zaczynamy się gubić? Jakbyśmy kultury chcieli, rozumieli ją, a jednocześnie mieli z nią problem owej.... Niedookreśloności z jednej, a zbytniej dosłowności z drugiej strony. Czy w ogóle potrafimy – pozaakademicko – definiować kulturę?

Jarosław Makowski: To jest tak, jak pisze św. Augustyn w *Wyznaniach*, gdy rozważa, czym jest czas. Gdy mnie pytają, powiada, co to jest czas, wiem. Gdy każdą zdefiniować, nie wiem. By zrozumieć, czym jest kultura, lepiej od razu zajrzeć do języka, który skrywa różne tajemnice. Słowa kultura pochodzi od łacińskiego *colere* – uprawiać, dbać, pielęgnować... A zatem jest to czynność, która polega na trosce, pielęgnacji, doglądaniu, nawożeniu. Jest tu wprost odniesienie do roli, gdzie główne zadanie polega na uprawie ziemi. Kultura zatem to przede wszystkim niekończąca się uprawa, gdzie polem tej pielęgnacji jest ciało i dusza, język i wyobraźnia. Dlatego każda próba jasnego zdefiniowania, skazana jest na porażkę. Spotkanie z kulturą to zachwyt, który odsłania tę wielką prawdę, że nawet, gdy nas już nie będzie, to kultura wciąż będzie, i będzie dalej polem uprawy.

Każda definicja, jaką spróbujemy sformułować będzie zatem zbyt wąska.

Każda będzie za wąska, każda będzie ułomna i każda będzie przypominała to, od czego chcemy tu uciec. A przynajmniej ja się przed tym bronię: przed zakuciem kultury w kajdany i próbą jej okiełznania do takiej czy innej definicji. Bo choć kultura nie służy żadnemu celowi, to obyć się bez niej nie podobna.

Na szczęście wszelkie próby nakładania na kulturę jakiś ram czy ograniczeń wcześniej czy później kończą się porażką. Mamy mnóstwo przykładów tego, jak się źle kończy, kiedy kulturę próbuje się zawłaszczyć; gdy ktoś chce powiedzieć, że kultura ma taką a nie inną rasę, płeć, że kultura chce bądź nie chce być ideologiczna, czy raczej niezbędna jako narzędzie ideologii. W każdym momencie, kiedy ktoś próbuje przyciągnąć do siebie kulturę by ją zawłaszczyć, ta wymyka się. W tym samym momencie rodzą się problemy...

Kultura od razy stawia opór tym, którzy właśnie próbują ją zawłaszczyć. To, co możemy dać kulturze, to stworzyć jej nieskrępowane warunki rozwoju, a więc stworzyć nam samym takie warunki życia, abyśmy mogli w tej przestrzeni wolności się realizować. A to znaczy, że kultura jest też polem dialogu, ale i sporu. To widać obecnie na naszym podwórku: z jednej strony prawica rozumie wagę kultury i próbuje ją okiełznać. Polega to na tym, że tworzy się katalog twórców, których należy czytać, oglądać, słuchać czy podziwiać.

Ale to już mieliśmy! Był czas obowiązkowych lektur obowiązkowych pisarzy, wyznaczany przez partię kierunek w sztuce, muzykę „pod dyktando", unifikację.

No właśnie! Byli ci, których należało zapraszać, z którymi należało się spotykać aż bańka prysła. I to wraca: dziś również rząd chce kolonizować kulturę poprzez tworzenie instytucji, wyznających określony katalog wartości – to są to wszystkie instytucje narodowe, wielkie produkty, przejmowane muzea. I niewiele z tego wynika.

Z drugiej strony mamy przestrzeń, gdzie kultura – mimo braku wsparcia instytucjonalnego – korzysta jedynie

koniecznej jej do życia wolności. Ale to znienawidzona właśnie przez zwolenników kultury zamkniętej Olga Tokarczuk zdobywa największe światowe laury... To Paweł Pawlikowski, który nakręcił *Idę*, wedle niektórych obraz antypolski, dostał za nią Oscara. A teraz robi kolejny fantastyczny film: *Zimną wojnę*, która zachwyca nie tylko nas, ludzi, którzy rozumieją specyficzny komunistyczny kontekst, ale zachwyca ludzi po obu stronach Atlantyku.

To nie tylko specyficzny kontekst historyczny, ale i nawiązanie do naszej sztuki filmowej, swoisty ukłon wobec różnych przejawów naszej kultury, kodów, które znamy, takich dalekich, subtelnych ech.
Dokładnie. I jeszcze ten czarno-biały obraz, który – za sprawą zdjęć – zapiera niemal dech w piersi.

Z jednej strony jest to takie „nasze", bliskie, znane, niemal „do przeżycia", ale z drugiej...
Tak uniwersalne... To jest właśnie ta wielka sztuka opowiadania, sztuka przedstawiania...

To jest właściwość kultury.
Gdy popatrzymy na Pawlikowskiego, widzimy twórcę zakorzenionego tutaj, który jednocześnie uczył się robienia filmów na Zachodzie. A przecież wraca tu i te nasze wątki wynosi na poziom uniwersalny. Intelektualista, człowiek myślący, żyjący kulturą, zawsze jest zakorzeniony w jakiejś wspólnocie, przywiązany do ziemi, wyrastający w określonym języku. W tym kontekście, przypomniały mi się słowa Józefa Tischnera, który mówił, że on nie chce ratować nadziei Niemców, Francuzów, ale chce ratować naszą nadzieję. To nie znaczy, że Tischner miał nie znać Heideggera, Kanta czy Kartezjusza. Przeciwnie, znajomość i rozumienie tych czy innych idei jest konieczna, ale nie po to, aby tego przykładowego Heideggera tłumaczyć Niemcom, ale żeby wziąć jego dzieła i wytłumaczyć nam kilka zdań. To jest właśnie kultura – sztuka translacji. Niezależnie od tego, czy mówimy o filozofii, literaturze, filmie czy sztukach wizualnych. Będąc człowiekiem kultury, zawsze jesteś też, człowiekiem przekładu...

Jest się tłumaczem, tym, który jest zanurzony w swoją historię czy raczej opowieść, czyni ją powszechną, uniwersalną i komunikowalną tak naprawdę poza lokalnym kodem, poza zdefiniowanym kręgiem kulturowym.
Najpierw użyłaś słowa „historia": jaka jest różnica między kulturą a historią? Historię łatwo zinstrumentalizować. Stąd prawicowa polityka historyczna. O ile udało się prawicy skolonizować historią, o tyle nie idzie im z kulturą. Bo kultury, o czym może jeszcze nie wiedzą, nie da się okiełznać. Mówiliśmy o tym wcześniej.

W kulturze, niezależnie od tego czy szeroko, czy wąsko rozumianej, jest tyle wolności, że tego się nie da okiełznać i ona się zawsze wymknie. Jak to zatem jest, że z kulturą średnio radzą sobie liberałowie. Kochają wolność, a jednocześnie kiedy przyglądam się kolejnym środowiskom liberalnym, łącznie z własnym, to kultura jest trochę dzieckiem niczyim, nie do końca chcianym, rozumianym... Jest raczej „wyzwaniem", czymś nad czym chcemy popracować, co chcemy poznać, o co chcemy zapytać, bo mamy wrażenie, że o ile kultura bardzo zaanektowała lewica z jednej, a prawica z drugiej strony to pozostaje pewna „dziura". Skoro kultura to wolność czemu liberałowie nie znajdują na nią sposobu? Albo inaczej nie radzą sobie z kulturą, czy właśnie z wolnością w niej?
I z jednym, i z drugim. Liberałowie traktują kulturę jako jeden z elementów rynkowych, prawda? A więc: „Czy na kulturze zarobimy?" Albo: „Jak zarobimy?" Otóż kultura nie jest po to by na niej zarabiać. To rozumie akurat prawica. Kultura jest w pewnym sensie sama dla siebie. Choć nie służy żadnemu celowi, to obyć się bez niej nie podobna.

Ale to nas przenosi w kolejny wymiar wolności.
Rację miał lewicowy myśliciel Antonio Gramsci'ego, który mówił „najpierw hegemonia kulturowa, a potem hegemonia polityczna". O co toczy się walka? O duszę. To pojęcie, które dziś jest zepchnięte na margines. Bo kto by chciał w XXI wieku rozmawiać o duszy?

I znów użyteczny jest Tischner: prawdziwa rewolucja zawsze jest rewolucją ducha. Ten kto zna klucz do duszy wspólnoty, ten zna klucz do jej politycznego przejęcia. Bo na czym, w moim odczuciu, polega dzisiejszy problem. I to, co spędza nam sen z powiek: widmo populizmu krążące nad Europą.

Przypomnij sobie Krzysztofa Michalskiego i jego walkę o to, żeby Europa zajęła się wartościami. Nie ma Europy bez kultury. To, co może Europa dać i czego nie da się w żaden sposób zastąpić i co ma bezcennego, to nie są fabryki (te mają Chińczycy), to nie są technologie (te mają Amerykanie). Co ma Europa: kulturę. Odejście takich ludzi, jak Michalski, Paul Ricoeur, Hans Gadamer, sprawiło, że przestaliśmy w UE rozmawiać o Europie jako o projekcie kulturowym. Klejem scalającym nie będzie kasa - jeśli będzie, to tylko i wyłącznie europejska kultura.

Masz rację. Zabrakło nam... mistrzów i swego rodzaju nauczycieli, którzy szanując naszą wolność w jakimś sensie osadzali nas w kulturze, sprawiali, że czuliśmy się w niej zadomowieni. I mówię o szeroko rozumianej kulturze, która jest już nie historią, a właśnie opowieścią, z którą każdy z nas jest nierozerwalnie związany. Tożsamością, poprzez którą jesteśmy rozpoznawani, by nie powiedzieć dekodowani, gdy tylko wyjeżdżamy. Kultura staje się naszym znakiem rozpoznawczym, pokazuje, że jesteśmy tacy, a nie inni. Wystarczy wystawić nos na inny kontynent, nawet jeśli nominalnie widzimy tam przejawy tzw kultury wysokiej, to jednak... coś nie gra. Rozpoznajemy siebie nawzajem. Tą, „inność" widać w naszych zachowaniach, w naszych zwyczajach, w naszym innym sposobie otwartości. To wszystko jest kultura, to nie jest tylko ten demokratyczny prawda szkielet, nie tylko wartości, o których mówimy, ale to jest kultura. Jako całość.
Zabrzmi to arogancko... ale niech tak zabrzmi. Rozmawianie z Amerykanami, którzy, przepraszam, swoje wykopaliska archeologiczne zaczynają od wyszukiwania butelek, które zostawili pijani kowboje, mnie bawi. Nie wiem, jak ciebie? To pokazuje, jakie skarby mamy w Europie. To dziedzictwo kulturowe, którego już nikt nam nie odbierze. Tylko, jak to się dzieje, że mając ten skarb, chowamy go pod kocem. Jakbyśmy się wstydzili tego, co udało nam się osiągnąć.

Można zażartować, że mamy wieki przewagi, ale nie o to chodzi. Może w jakimś sensie nie chcemy przytłaczać, dominować, albo inaczej, próbujemy coś ze sobą pogodzić, mając świadomość odmienności kulturowej, różnych ścieżek rozwojowych, wszelkich przeszkód. Bo... może nie do końca wypada, bo przecież

Mat. Jarosława Makowskiego

JAROSŁAW MAKOWSKI

Filozof, teolog, publicysta, miejski aktywista, radny Miasta Katowice, dyrektor Muzeum Ziemi Kozielskiej. Ostatnio opublikował: „Pobudka Kościele" (2018) – esej o społecznym nauczaniu papieża Franciszka.

krzewienie „naszej kultury" nie zawsze miało najlepsze skutki…

To jest jedna strona medalu, zgoda, ale druga jest taka, że się wstydzimy. Jak tu mówić o wielkich uniwersytetach, które stworzyliśmy, skoro dziś wszystko jest na YouTube. Kiedyś w pociągu rozmawiałem z jedną Włoszką i tak trochę, pół żartem, pół serio mówię: „Włosi, tak mało wyjeżdżacie, języków obcych się nie uczycie". I teraz piękna riposta: „Słuchaj przyjacielu, jak zrobicie dla cywilizacji tyle co my, to też nie będziecie wyjeżdżać i nie będziecie musieli się języków obcych uczyć". I coś w tym jest…

Dlatego musimy zerwać z tym poczuciem wstydu i absolutnie pokazać, że kultura to nasza „soft power". A dwa, nie zbudujemy Europy zjednoczonej, zintegrowanej ceniącej praworządność, kochającej wolność, jeszcze nie przywrócimy kulturze, tej rangi, która jej się należy.

Mam wrażenie, że ze wstydem faktycznie jest coś na rzeczy. Mamy przecież ogromny potencjał, w rozwoju kulturowym nie zatrzymaliśmy się na ani na etapie greckich świątyń, ani renesansowych Madonn. Mieliśmy wiek odkryć, wiek rozumu, czy wreszcie czas wielowymiarowej powojennej odbudowy. Za każdym razem kultura stawiał nas na nogi, a teraz… rozpływamy się w nowoczesności, bo… tak wypada? Nie umiem się na to zgodzić.

Chcemy być tak nowocześni, że odrzucamy dziedzictwo, by być na czasie. Krótko: trendy…

Ten moment, gdy wydaje się, że to droga do mainstreamu?

Albo główny nurt, albo margines. Ale Derrida nas uczył, że marginesy są najbardziej ciekawe. Bycie na czasie jest przereklamowane. Zazwyczaj jest nudne. I takie powszednie. Idzie więc o to, by marginesy kultury – właśnie dlatego, że są marginesami – robiły swoją kulturalną szychtę. Ktoś musi podjąć się tej niewdzięcznej roboty bycia nie na czasie…

Jeśli nie my, to kto?

Dokładnie. W tym sensie, o którym tu mówimy, Pawlikowski robi swoje. Tokarczuk robi swoje, prawda? Tischner robił swoje na gruncie teologiczno-filozoficzny, Michalski robił swoje…

To było pokolenie, które się nie wstydziło, dla którego ta kultura była absolutnie oczywista… Oni nie potrzebowali się nad tym zastanawiać. To po prostu szło razem z wychowaniem. To też jest pytanie, czy w tym momencie da się kogoś wychowywać do kultury? Niekoniecznie tej wysokiej?

W dobie Facebooka, Twittera, Instagrama… Nie wiem, czy się da wychowywać do kultury. Po prostu kulturę należy uprawiać: w rodzinie, w szkole, na uniwersytecie, w telewizji. Na każdym polu. Pisać dobre książki, wystawiać dobre sztuki, organizować ciekawe wystawy. Tak robi się dobrą kulturę.

Trzeba ją robić we wspólnotach i tych wielkich, i tych małych. Mam wrażenie, że w polskich małych miasteczkach, coś się w końcu zaczyna dziać, ale pięć, czy dziesięć lat temu, to była pustynia.

Szczególnie tych małych. Dziś ludzie odkrywają wartość swojej lokalności. Wracać do małych wspólnot. Oczywiście nie zwalnia to państwa z tego, żeby stwarzać warunki dla uprawia kultury, nie zwalnia to liberałów z tego, żeby naprawdę serio potraktować kulturę jako tą płaszczyznę, na której toczy się bój o duszę wspólnoty.

Na czym polega fenomen Kaczyńskiego? Nie na tym, że przejął władzę, bo przejmowanie władzy przez kolejne partie jest przecież normalne. Fenomen Kaczyńskiego wiąże się z dokonaniem gwałtu na polskiej duszy. To, co było przedmiotem dumy – otwartość, tolerancja, gościnność, europejskość – a więc nasza kultura w najlepszym wydaniu, stało się przedmiotem wstydu. A to, co było przedmiotem wstydu – szowinizm, nacjonalizm, ksenofobia, antysemityzm – stało się przedmiotem dumy. Tu się dokonał ten zasadniczy przewrót w sferze ducha, który umożliwia budowę tak zwanej IV RP. To przejmowanie całych obszarów zinstytucjonalizowanej kultury po to, by ją zaprzęgnąć do określonego projektu politycznego.

Jeżeli Kaczyński się potknie, to nie dlatego, że opozycja go pokona, przestawiając alternatywną i pociągającą wizję polityczną, ale dlatego, że wolna kultura go pokona. I to jest piękne: przed złą polityką uratuje nas ta niedoceniana i po macoszemu traktowana kultura. Raz jeszcze kultura! ◉

DR MAGDALENA M. BARAN

Filozof i historyk idei. Z-ca redaktora naczelnego *Liberté!*.

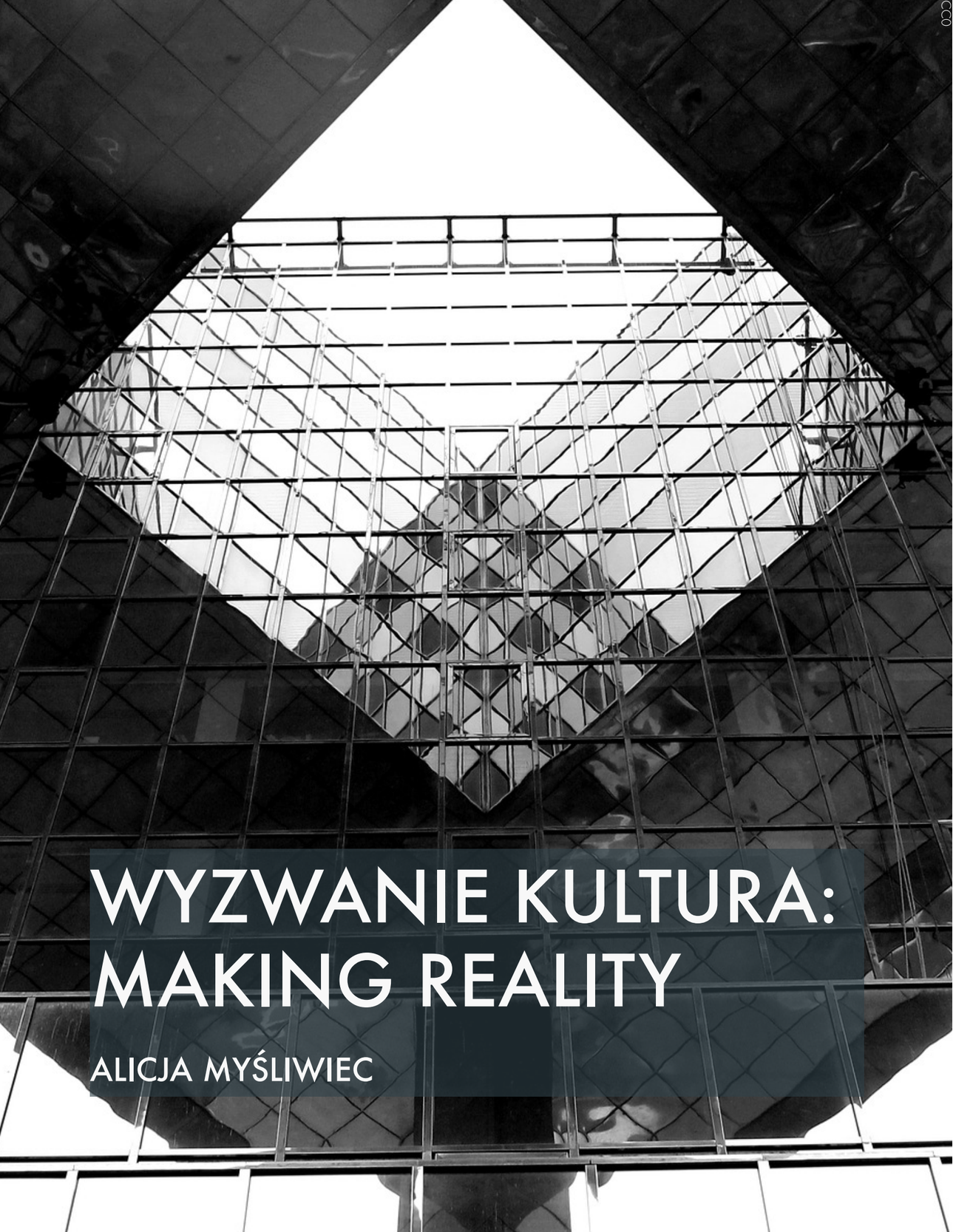

WYZWANIE KULTURA: MAKING REALITY

ALICJA MYŚLIWIEC

Choć kultura została utowarowiona – deficyty odbiorców zamieniane są w benefity nadawców – jej produkty nie straciły kulturotwórczego charakteru. Relacja między tym, co masowe i popularne z demokratycznej zamienia się w kolonialną. Steruje nią subwersywny charakter współczesnych tekstów, modeli konsumpcji i dystrybucji treści. Nie potrzebujemy już rynkowych bomb i niewypałów. XXI wiek szuka tworzywa, które będzie modelować rzeczywistość bez konieczności wysadzania jej w powietrze, twórców, którzy bawią się nami i z nami, odbiorców, którzy – o ile tylko poczują się gotowi – mogą wejść w ich role.

Rzeczywistość „gryzie", by odwołać się do oryginalnego tytułu kultowego filmu Bena Stillera z 1994 roku, który z niewiadomych powodów przetłumaczono na język polski jako *Orbitowanie bez cukru*. Gdy co rusz słyszymy o kolejnych kryzysach, skandalach i problemach, ucieczka i możliwość zanurzenia się w innym uniwersum jest więcej niż atrakcyjna. Może okazać się użyteczna pod jednym warunkiem – realia, które budują nowe, wspaniałe ekranowe światy muszą być dla nas wiarygodne, czyli paradoksalnie podszyte niepokojem, który w sobie nosimy. Konfrontacja z lustrzanym odbiciem jest dużo bezpieczniejsza, a równie skuteczna terapeutycznie.

Mały i wielki ekran lukrują rzeczywistość lub dodają do tego miodu nieco dziegciu, w zależności od zamiłowania i zapotrzebowania na utopie bądź dystopie. Znamy to i lubimy. Oglądane przez nas światy mają swoich autorów i kolonizatorów w osobach nadawców. Opowiadają historie, jednocześnie stając się jednym z ich tematów. Stwarzanie siebie, wymyślanie, zmyślanie i zaklinanie rzeczywistości z jednej strony wymyka się spod kontroli, z drugiej staje się jej narzędziem.

Mały i wielki ekran lukrują rzeczywistość lub dodają do tego miodu nieco dziegciu, w zależności od zapotrzebowania na utopie bądź dystopie

Mechanizm refleksywności nie jest niczym nowym. Ortega y Gasset zalecał przyglądać się raczej szybie niż temu, co można przez nią dostrzec. Brecht z kolei teatralnej sztuce iluzji przeciwstawiał sztukę obnażającą własne mechanizmy. Dzięki Netflixowi McLuhanowskie „medium is the massage" doczekało się nowej historii brandingowej z pogranicza Gogolowskiego zwierciadła i binge-watchingu. Obnażanie własnej natury medium pobudza zmysły, z kolei obnażanie natury odbiorcy otwiera go na nowy rodzaj perswazyjności. Nadawca coraz częściej sprawdza, jakie są jej możliwości kulturotwórcze tego subwersywnego potencjału. My uczymy się, jak z niego korzystać. Wirtualne światy napędza ten „prawdziwy", złożony z umowności tu i teraz.

Netflix przeszedł drogę od wypożyczalni video jakich wiele do autonomicznego nadawcy produkcji sygnowanych marką *Netflix originals*. Gdy końcowy klient

finansuje, ocenia, decyduje o dalszym losie danej serii, władza wraca w jego ręce. W konsekwencji to My decydujemy, czy serial wyprodukowany w Brazylii, po portugalsku, odnosi sukces w Niemczech. Platforma eksperymentuje z różnymi tekstami kultury. Zwróciła masowej publiczności Shakespeare'a, karmiąc serialowego Ryszarda III żeberkami w *House of cards*. Schematy władzy z sukcesem przeszczepiła do świata serialowej popkultury. Operacja się udała, ekranowy pacjent umarł. W dodatku na własne życzenie, bo Franka Uderwooda zabiła fala oskarżeń Kevina Spacey'ego o molestowanie seksualne. W szóstym, ostatnim sezonie *House of Cards*, to Claire Underwood (Robin Wright) gra pierwsze skrzypce. Ekranowa bohaterka zostaje prezydentem tylko dlatego, że jej męski, ekranowy odpowiednik naruszył granice tego, co dopuszczalne w realnym świecie.

Netflix stara się, aby każda produkcja oryginalna na platformie była ekscytującym przeżyciem. 1 lutego wprowadził nową animację logo, która zastąpi dotychczasowe intro (logo na białym tle). „Jedni ją uwielbiają, inni zarzucają skomplikowanie, agresywne kolory, nadmierną stymulację. linia w ostatniej sekundzie nie przechodzi przez środek ekranu, a znika przy prawej krawędzi. Może to być ukłon w stronę *exiting stage right*, gdzie aktor, który nadal ma rolę do odegrania tradycyjnie – ale nie zawsze – opuszcza scenę z prawej strony ekranu – ocenia Paweł Kociszewski z agencji brandingowej Papajastudio. – Jak wiele Netflix zaczerpnął (a może zwyczajnie skopiował) od oryginalnego intro HBO z 1983 roku, lub z czołówek amerykańskich telewizji z lat 80-tych i 90-tych? Tego nie wiemy. Nie wyjaśnia w nawet minimalnym stopniu inspiracji trwających ponad dwa lata prac. Pewnym jest jednak, że przygotowuje się do wojen strumieniowych z Disney, AT&T i oczekiwaną ofertą streamingową od Apple" – dodaje. Potrzebuje do tego nie tylko odpowiedniego kamuflażu, ale również sojuszników.

Puszcza do odbiorców oko i jednocześnie przypomina, że most między kulturą masową a popularną zawsze jest mostem zwodzonym. Działa jak wielki brat. Cały czas patrzy. Wie, co oglądaliśmy, ile razy i w jakim odstępie czasu. Umiejętnie wykorzystał falę resentymentu, która każe nam oglądać kolejne odcinki *Stranger Things* i pozwala snuć marzenia o pędzeniu przez miasto na dwóch kółkach bmx-a. Wyciągając wnioski z naszych zachowań, wie o upodobaniach więcej niż sami bylibyśmy mu skłonni wyjawić. Przygotowuje nie tylko rekomendacje dla kolejnych propozycji, ułatwiając stworzenie własnej ramówki, ale dane wykorzystuje, aby „trollować" rzeczywistość, którą sam stworzył. To kolejna bitwa w walce o kreację rzeczywistości. Netflix zna nasze sekrety. Poddaje pod wątpliwość nasz gust. Pozwalamy mu na to, ponieważ wie, jak zaspokoić wstydliwe potrzeby, którymi nie będziemy chwalić się przed bliskimi, które nie budują naszego autorytetu, a raczej zdradzają deficyty.

Bardziej problematyczny niż gust użytkowników, był fakt, że platforma z nich kpi. Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!

Na fali popularności filmów bożonarodzeniowych okazało się, że komedia romantyczna *Świąteczny książę* jest tak, wyjątkowa, że 53 osoby obejrzały ją 18 razy w ciągu ... 18 dni. Film do wysokich lotów nie należy. Wykorzystuje za to schematy narracyjne z dobrze znanych historii – jest Kopciuszek, zamek, książę, skromna dziennikarka-blogerka, choinki, niepełnosprawna dziewczynka walcząca o swoje marzenia – jednym słowem wszystko, co kiedyś, gdzieś już było zostało zmiksowane ponownie w maksymalnych proporcjach. Na podobnych zasadach opiera się model kina Patryka Vegi. Na Twitterze Netflix zwrócił się bezpośrednio do 53 użytkowników serwisu, przywołując imponującą statystykę i pytając retorycznie: kto ich tak zranił. W sieci zawrzało. Bardziej problematyczny niż gust użytkowników, był fakt, że platforma z nich kpi. Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!

Netflix, przerzucając na nas ciężar podejmowanych decyzji, sprawdza, ile czasu będziemy się wahać zanim zdecydujemy o życiu i śmierci

„Mgła, emocje, paradoksy" - felietony polityczno-społeczne Marka Migalskiego

„Im bardziej więc partie ze sobą wojują, im bardziej dominują w debacie publicznej, im bardziej zawłaszczają każdy temat, żeby wymienić ciosy, tym większą zyskują popularność i sympatię wyborców. Jeśli uda im się tak ustawić dyskurs polityczny, że każda, nawet najmniejsza kwestia, będzie przedmiotem ich zażartego sporu, w którym obie formacje zajmą skrajne pozycje, tym lepiej dla nich, bowiem dzięki temu będą w stanie obsłużyć emocjonalnie prawie całe spektrum społeczne. (...)

Stracą zaś te ugrupowania, które będą nawoływać do pokoju społecznego, które będą wskazywać na jałowość tego typu sporów oraz wzywać do zakończenia bezsensownych kłótni i zajęcia się sprawami ważnymi dla elektoratu. Tacy »defetyści« na pewno nie zostaną uznani za wartych obdarzenia głosem wyborczym i będą musieli zadowolić się rolą statystów. Bo w polityce, gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają. I tylko oni".

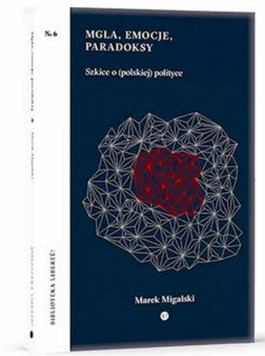

BIBLIOTEKA LIBERTÉ!

L!

Już wkrótce na sklep.liberte.pl

Rybka połknęła haczyk. Kiedy w kampanii reklamowej Netflix wyśmiewał później Łukasza Jakóbiaka i jego „wizualizacji level-up", którą zasłynął na polskim YT, promując jednoczenie program z udziałem Ellen Degeneres, Polska śmiała się razem z nim

Platforma idzie o krok dalej. Już nie robi seriali, ale pokazuje w nich siebie. Trudno o lepszy przykład niż *Bandersnatch*, specjalny odcinek *Black Mirror*. Charlie Brooker (autor serii) to ekspert od ekranowych opowieści o przyszłości. Jego serial zaskakuje kalejdoskopowymi konfiguracjami. Jego alternatywne rzeczywistości są ciekawą artystyczną i symboliczną interpretacją aktualnych dystopijnych lęków i obaw. Manipuluje nami, odsłania karty na tyle późno, czy np. dopiero pod koniec odcinka dowiadujemy, że przez 45 minut kibicowaliśmy ekranowemu pedofilowi. Przeglądanie się w tytułowym *Czarnym lustrze* jest zaproszeniem do konfrontacji z przyszłością, która zdarzyła się wczoraj. A my po prostu dopiero dziś to zauważyliśmy.

Kiedy na małym ekranie pojawił się *Bandersnatch*, osadzona w 1984 roku opowieść o programiście, który pracuje nad mroczną grą fantasy, na pierwszy rzut oka historyjka nie pasowała do świata z uniwersum Brookera. Rok 1984 to dziś symbol więcej nachalny. Orwellowska wizja totalitaryzmu została już opakowana i sprzedana na tysiąc sposobów. Ale tym razem to forma zdominowała treść. Brooker wymyśli, że o temacie kontroli jednostki przez system opowie w interaktywny sposób. Kontrolowany będzie bohater serialu, a sterujemy My. Postmanowskie zabawienie się na śmierć, zyskało materializację w postaci pilota/myszki i dwóch przycisków ze strzałkami. Twórca stał się tworzywem. Zafascynowani decydowaniem o tym, co bohater ma zjeść na śniadanie, czy i w jaki sposób zabić swojego ojca, pozwalamy na podwójny eksperyment. Netflix przerzucając na nas ciężar podejmowanych decyzji, sprawdza, ile czasu będziemy się wahać, zanim zdecydujemy o życiu i śmierci. Po około dwóch godzinach wie, jak chętnie kogoś uśmiercamy, jak szybko decydujemy w kryzysowych sytuacjach. Nie musiał nas wcale ciągnąć za język. Po prostu pozwolił się bawić zakazanymi zabawkami.

W odpowiedzi na sugestie Doroty Wellman, która w jednym ze swoich felietonów obarczyła „młode pokolenia i platformę Netflix" winą za trwanie PiS u władzy, serwis mógłby pokusić się o przepisanie konwencji *revenge movies*, odchodzące od założeń, że zemsta jest słodka, najlepiej smakuje na zimno (roboczy tytuł *Afera Duck Towers*). Postanowił jednak modelować naszą historię w inny sposób.

Polska narracja wokół platformy związana jest z serialem *1983*. Prawicowo zorientowana prasa już w momencie rozpoczęcia zdjęć, zrecenzowała 1 sezon. Alarmowano, że Agnieszka Holland z kolegami z zagranicy „zakpi" ze 100-lecia odzyskania niepodległości, pokazując Polskę tkwiącą pod jarzmem komunizmu aż do 2003 roku. W serialu mamy coś starego, coś nowego, coś pożyczonego. W sam raz na nową drogę życia indeksu ksiąg zakazanych. Ekranowi Polacy nie mogą legalnie czytać Harry'ego Pottera, *Roku 1984* Orwella, nie obejrzą też spektaklu *Dziady*. Polska leczy – tym razem wyimaginowane – rany (to pewna nowość), ale wciąż duma nad otwartymi trumnami (to akurat dobrze znamy). Do *1983* podchodzę z pełną otwartością, bo modelowanie historii pod flagą biało-czerwoną jest dla mnie kuszącym eksperymentem. Nie przeszkadza nachalna umowność wpisana w ekranowy świat, kiedy weźmie się pod uwagę, że totalitaryzm zawsze opiera się na umowności. I dobrze, że nawiązując do słów samej reżyserki (Agnieszka Holland zarzuciła krytykom, że w ocenach serialu brandzlują hejtem) występuje brandzlowanie wokół tematu. Zanim zaczniemy budować kolejny biało-czerwony świat z realnych artefaktów, powinniśmy zastanowić się, na czym stoi ten realny. Bez tego uniwersalnych historii, które podbiją światowe rynki nigdy nie będziemy opowiadać. Wojny strumieniowe prowadzone przez platformy nadawcze z powodzeniem kolonizują narodowe narracje. Dobrze przygotowany eskapizm może działać terapeutycznie. ◉

Sekcja specjalna „Making reality" to nowość w programie 12.OFF CAMERA. Programerzy festiwalu zgromadzili tytuły, które w najciekawszy sposób opowiadają o kreowaniu światów i potrzebach odbiorczych, które zostają w ten sposób zaspokajane. Do zobaczenia w Krakowie od 26 kwietnia do 5 maja.

ALICJA MYŚLIWIEC

Dziennikarka z wykształcenia, zawodu i wyboru. Absolwentka studiów doktoranckich z wiedzy o sztuce, doktorantka wiedzy o mediach na UJ. Współpracowała m.in. z TVN Fabuła ("Najpiękniejsza muzyka filmowa"), RMF Classic ("Życie z Klasą", "Kobiety Rakiety"), AntyRadiem, Eską Rock, serwisem Wirtualna Polska. Rzeczniczka Prasowa i PR Manager Festiwalu OFF CAMERA. Właścicielka agencji kreatywnej PR Broker.

LIBERALIZM, WERSJA *GREEN*

PIOTR BENIUSZYS

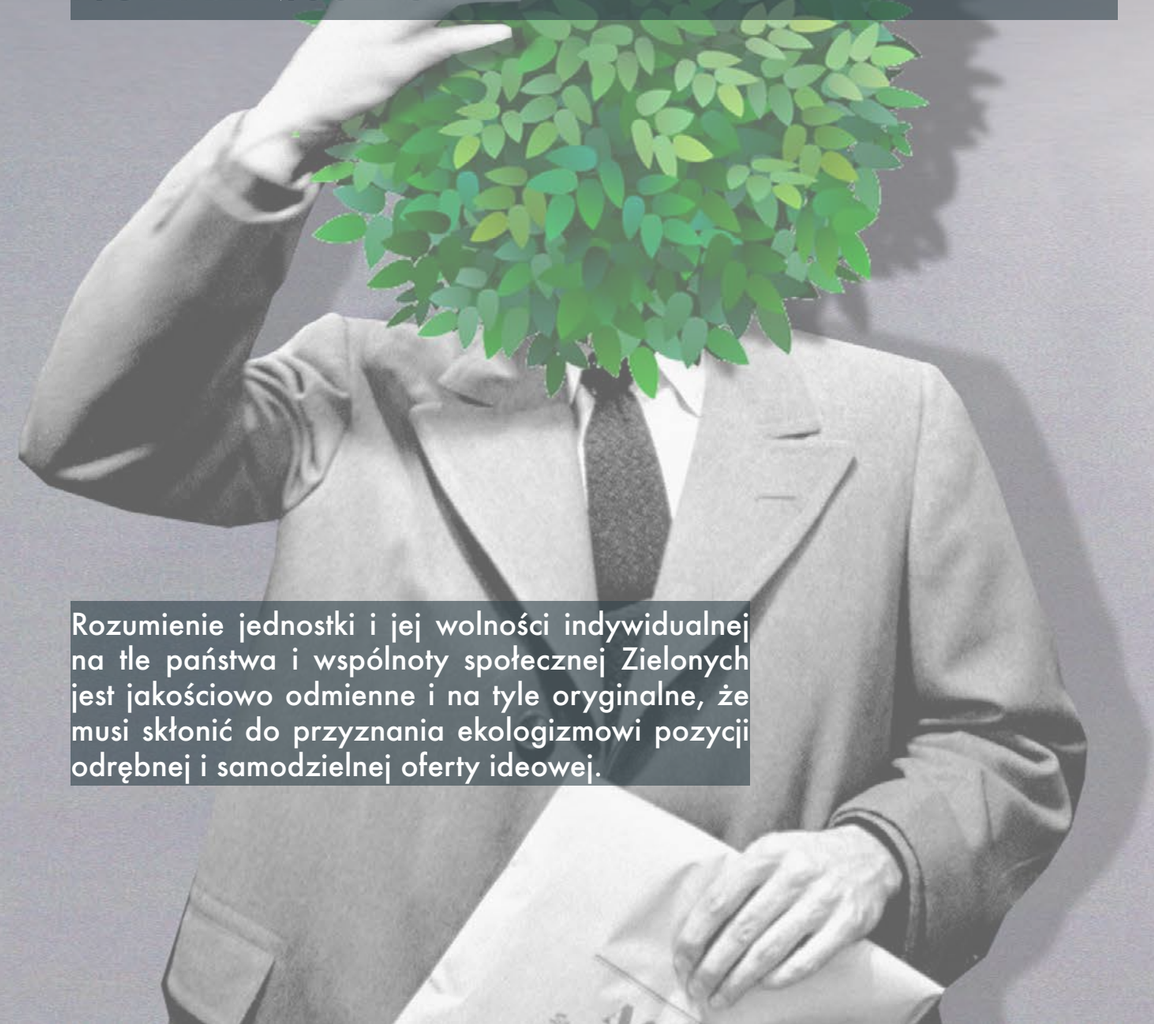

Rozumienie jednostki i jej wolności indywidualnej na tle państwa i wspólnoty społecznej Zielonych jest jakościowo odmienne i na tyle oryginalne, że musi skłonić do przyznania ekologizmowi pozycji odrębnej i samodzielnej oferty ideowej.

Pojawienie się w przestrzeni debaty ideowej nurtu zielonego liberalizmu było kwestią czasu. Refleksja liberalna, zajmując centrowe miejsce w sporach aksjologicznych, zawsze ujawniała skłonność do wchodzenia w relację z kontrpropozycjami i do negocjowania z nimi płaszczyzn kompromisowych. W drugiej połowie XX wieku ta wysoka zdolność do elastycznej modyfikacji niektórych założeń i ucieczka od dogmatyzmu stały się tajemnicą sukcesu liberalizmu, jego paliwem na drodze do zajęcia pozycji dominującej propozycji dla organizacji państw i społeczeństw świata Zachodu. Tak więc oto w relacjach z konserwatyzmem wykuwał się neoliberalizm, w relacjach z socjaldemokracją – socjalliberalizm, w relacjach z chadecją – ordoliberalizm, a wraz z wypłynięciem na przełomie lat 70-tych i 80-tych do głównego nurtu debaty problematyki ochrony środowiska i pojawieniem się ruchu Zielonych oraz uformowaniem idei ekologizmu – pojawił się zielony liberalizm.

W tamtym okresie wielu intelektualistów i ludzi nauki namawiało liberałów do wchłonięcia ruchu Zielonych do swoich struktur i zablokowanie – poprzez włączenie do własnej programowej agendy postulatów ekologicznych – powstania oddzielnego zjawiska polityczno-partyjnego. Było to jednak nieporozumienie wynikające z dwoistej natury ekologizmu. Owszem, program ochrony środowiska można było także rozumieć jako zestaw pragmatycznych postulatów politycznych, opartych na naukowej refleksji i rozumowym podejściu do zachodzących na planecie procesów, które wymagały reakcji i zmiany filozofii funkcjonowania gospodarki. Taki zestaw „zielonych" postulatów nadawał się do prostego włączenia do programów partii liberalnych, lepiej do tego przygotowanych aniżeli konserwatywna, chadecka czy także socjaldemokratyczna konkurencja. Partie tych trzech nurtów były bowiem o wiele mocniej związane zależnościami interesów z lobby czy to wielkich koncernów przemysłowych, czy to związków zawodowych z obciążających środowisko branż. Liberałowie w większości państw mieli więcej swobody i mogli sprawy ochrony środowiska podjąć nie narażając się na bunt swojej bazy wyborczej. Zaowocowało to włączeniem przez partie liberalne części krajów (m.in. Wielkiej Brytanii, ale zwłaszcza Norwegii) zielonych postulatów do swojej agendy.

Liberałowie w większości państw mieli więcej swobody i mogli sprawy ochrony środowiska podjąć nie narażając się na bunt swojej bazy wyborczej

Jednak sprawa nie była taka prosta i techniczny zabieg dodania jednego rozdziału do programów wyborczych nie załatwiał sprawy. Ekologizm był i jest do dziś nie tylko zestawem postulatów, ale także propozycją filozoficzną, której fundamenty są odrębne zarówno od innych refleksji lewicowych, jak i od liberalizmu. Nie jest też nawet formą przejściową, czymś pomiędzy tymi dwoma światami. Rozumienie jednostki i jej wolności indywidualnej na tle państwa i wspólnoty społecznej Zielonych jest jakościowo odmienne i na tyle oryginalne,

że musi skłonić do przyznania ekologizmowi pozycji odrębnej i samodzielnej oferty ideowej.

Liberałom i Zielonym nie uda się osiągnąć filozoficznej zgody co do kwestii przez liberałów uznawanej za najważniejszą, natury wolności jednostki. Owszem, nurt zielonego liberalizmu stanowi formę wyjścia naprzeciw. Zasadza się ona na dość oczywistym uznaniu degradacji środowiska naturalnego oraz pogorszenia jakości życia na Ziemi za zamach na wolność jednostki. Jeśli zatruwanie powietrza, wody, gleby czy żywności przez jednych szkodzi życiu i zdrowiu drugich, to narusza ich wolność i z liberalnego punktu widzenia jest nie do przyjęcia, powinno zostać prawnie zakazane i poddane surowym karom. Aspekty ekonomicznej efektywności i dysponowania własnością prywatną pozostają w liberalnej analizie tych problemów co prawda doniosłe, jednak w zderzeniu z faktem ograniczenia wolności jednostek ludzkich muszą – jak wszystko inne – zająć pozycję drugorzędną i podporządkowaną. Przyjęcie naukowego myślenia o zmianach klimatu prowadzi liberałów do analogicznych, „zielonych" wniosków. Podejmowanie działań przeciwko zmianom klimatu znajduje uzasadnienie w postaci potrzeby zapobieżenia poważnym zagrożeniom wolności ludzkiej w przyszłości, ponieważ wielość konsekwencji zmian klimatycznych (klęski żywiołowe, migracje, konflikty zbrojne o zasoby) wygeneruje poczucie osłabienia bezpieczeństwa ludzi, co z natury rzeczy doprowadzi w procesach politycznych do działań zorientowanych na uderzanie w indywidualną wolność (zawsze tak się dzieje).

Liberalne ujęcie ekologizmu stroni od skrajności obecnych dziś jednak już tylko na marginesach ruchu Zielonych. Ekologiczny liberalizm umieszcza człowieka – jednostkę ludzką i jej prawa w centrum „zielonego" programu. Za cel stawia sobie minimalizację szkód, jakie działalność człowieka wywiera na środowisku naturalnym. Podobnie jak w przypadku ograniczania np. długu publicznego i deficytów, liberalizm w wersji zielonej przywołuje aspekt odpowiedzialności międzypokoleniowej za stan środowiska. Skoro naruszeniem wolności przyszłych pokoleń jest prowadzenie nadmiernie rozdętej polityki socjalnej dla pokoleń współczesnych, gdyż generuje ona rosnący dług publiczny, to z tego samego powodu nie wchodzi w grę eksploatowanie zasobów naturalnych w sposób taki, że stan środowiska otrzymanego w spadku przez przyszłe pokolenie będzie gorszy aniżeli stan, jakim cieszą się pokolenia współczesne. To w ujęciu liberalnym jest także najzupełniej oczywiste.

Zieloni liberałowie odrzucają tęsknotę niektórych, bardziej radykalnych Zielonych za gospodarką o zerowym wzroście

Dla zielonych liberałów bardzo istotnym aspektem jest potencjał wykorzystania zmian gospodarczych, wymuszonych przez ograniczenia ekologiczne. Chodzi tu o tworzenie nowego potencjału rozwojowego, generowanie większej wartości dodanej przez mającą duży

potencjał innowacyjny, gdyż nadal dość „świeżą" branżę gospodarki, o związane z tym nowe miejsca pracy oraz rysujące się przewagi konkurencyjne. Zieloni liberałowie dostrzegają ciekawą synergię pomiędzy, owszem, regulacjami i zakazami, które zostały wprowadzone, aby chronić wolność jednostki zagrożoną zatruwaniem środowiska, ale z drugiej strony siłami wolnego rynku, które znalazłszy się w nowych warunkach ramowych wyzwalają pokłady ludzkiej kreatywności i dają gospodarce nowe impulsy rozwojowe. Zieloni liberałowie odrzucają tęsknotę niektórych, bardziej radykalnych Zielonych za gospodarką o zerowym wzroście. Raczej upatrują szansy na wydłużenie epoki skokowego wzrostu dobrobytu ludzi poprzez ukierunkowanie naszej kreatywności na nowe obszary, które bez ograniczeń ekologicznych i przejścia do koncepcji zrównoważonego rozwoju być może nigdy nie zostałyby poddane eksploracji. Taka polityka przekłada się na zyski prywatnych firm i na boom miejsc pracy w perspektywicznych branżach. Zielonym liberałom obcy jest także strach Zielonych przez rozwojem technologii, np. przed metodami leczenia opartymi na inżynierii genetycznej.

Liberałowie i Zieloni są zaś naturalnymi sojusznikami w wymiarze politycznym, gdy chodzi o poszerzanie i stanie na straży szerokiego zakresu wolności jednostki w kontekście swobodnego kształtowania przez ludzi swoich życiowych projektów. Obyczajowy progresywizm, reprodukcyjne prawa kobiet, równouprawnienie mniejszości seksualnych, tolerancja międzykulturowa, korzystanie z używek, styl życia poza schematami uznanymi za tradycyjne, patchworkowe modele rodziny – to tylko niektóre ze wspólnych spraw. Jednak wchodząc na pole dyskusji o filozoficznych filarach tej wizji praw jednostki, liberałowie i Zieloni wchodzą na pole dyskusji o naturze wolności człowieka. A to jest dla ich relacji pole minowe.

Zieloni tolerują liberałów, dopóki ci walczą o wolności zgodne z zielonym etosem moralnym

Zieloni nie są komunitarystami, kolektywistami, nie stawiają zbiorowości wyżej niż jednostka. W tym sensie jest im bliżej do liberalizmu niż lewicy. Jednak im

głębiej w las, tym łatwiej się potknąć. Liberalne i Zielone rozumienie wolności rozjeżdża się przede wszystkim w trzech, ważnych punktach.

Po pierwsze, liberałów dziwić musi wybiórczość w postrzeganiu źródeł zagrożeń dla wolności, jaką prezentują Zieloni. Zdaniem tych ostatnich pojęcie wolności nie powinno kierować się przeciwko państwu i jego instytucjom, a tylko przeciwko przymusom generowanym w relacjach jednostki ze społeczeństwem (z tego samego powodu liberałowie dziwią się konserwatystom, którzy źródła zagrożenia wolności postrzegają też wybiórczo, tyle że odwrotnie niż Zieloni). Tymczasem liberałowie jak na dłoni widzą, że wolność jednostki ograniczają zarówno inni ludzie, grupy ludzi, organizacje i kościoły, jak i instytucje państwa, stosującego w tym celu prawo i nakładającego sankcje.

Po drugie, Zieloni odrzucają Smithowską tezę o dobroczynnym wpływie na innych tych ludzi, których motywacją jest skupienie na własnym interesie i własnej wolności. Ostrzegają przed dbaniem wyłącznie o własną swobodę i niezależność, przed orientowaniem się na własne potrzeby i na prywatną sferę życia. Żądają aktywizmu i zaangażowania na rzecz pozytywnej wolności innych ludzi, tak aby przeżycie wolnościowe było powszechne i stawało się doświadczeniem uzyskiwanym indywidualnie, ale równolegle przez wszystkich, a więc jednak też wspólnotowo.

Wiąże się z tym pozytywna definicja wolności, czyli uprawnienie do posiadania dostępu i środków, realnie umożliwiających określony zakres działań w korzystaniu ze statusu osoby wolnej, co dla liberałów zawsze jest problematyczne. Przykazanie zaangażowania na rzecz innego człowieka nosi znamiona moralnego zobowiązania i ogranicza formalnie wolność.

Po trzecie w końcu, Zieloni sugerują budowanie wolności w ramach określonego aksjologicznego etosu, który odpowiada ich wizji świata. Cieszy ich wolność, o ile wybór ludzi jest z nim zgodny, jeśli ludzie pojadą do pracy rowerem lub tramwajem, a na obiad zjedzą danie wegetariańskie. Zielonych liberałów to także cieszy, ale w żaden sposób nie popierają ograniczenia wolności wyboru w przypadku osób mających inny etos i chcących żyć inaczej. Ich wybór także jest sukcesem liberalnego planu upodmiotowienia każdego człowieka. Zieloni dostrzegają istnienie uniwersalnej, obiektywnie lepszej moralności, która skłania ich coraz częściej do typowego kiedyś dla konserwatystów paternalizmu, mnożenia etycznych obowiązków, potępiania innych wyborów. Zieloni tolerują liberałów, dopóki ci walczą o wolności zgodne z zielonym etosem moralnym. Jednak liberałowie nie stosują do swojego pojęcia wolności żadnych ram moralnościowych, pozostawiając wybór jednostkom i powstrzymując się od paternalistycznych ocen. W tym punkcie obie strony wchodzą na wojenną ścieżkę. ◉

PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w *Liberté!*. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

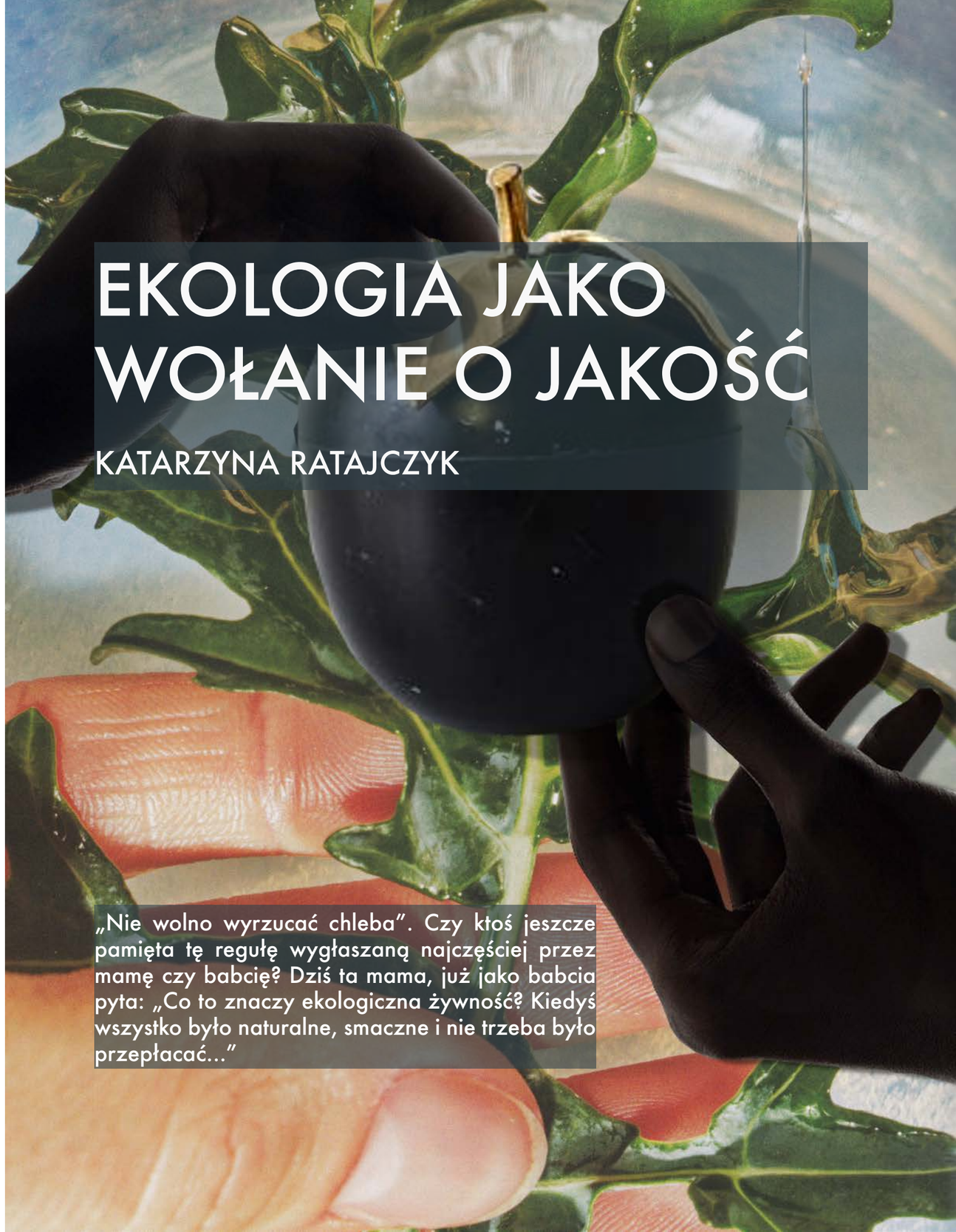

EKOLOGIA JAKO WOŁANIE O JAKOŚĆ

KATARZYNA RATAJCZYK

„Nie wolno wyrzucać chleba". Czy ktoś jeszcze pamięta tę regułę wygłaszaną najczęściej przez mamę czy babcię? Dziś ta mama, już jako babcia pyta: „Co to znaczy ekologiczna żywność? Kiedyś wszystko było naturalne, smaczne i nie trzeba było przepłacać..."

Czy ekologiczne oznacza od razu naturalne? I dodatkowa zagwozdka: czy jest „certyfikowane"? Tak, łatwo nie jest. Chociaż w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi istnieje komórka zajmująca się ekologicznym rolnictwem, to jak dotąd nie zadbała ona to, by wytłumaczyć nam (konsumentom), co to jest „certyfikat rolnictwa ekologicznego", a zwłaszcza, co się za nim kryje. Chodzi o znajdowany na wielu produktach zielony prostokąt z gwiazdkami ułożonymi w listek. W największym skrócie zaświadcza on, że uprawa została przeprowadzona zgodnie z wytycznymi, co niekoniecznie nie oznacza, że całkowicie naturalnie. Zapalają się czerwone światełka? Pewnie tak, jednak jeśli chcemy być uczciwi musimy przyznać, że w ramach certyfikatu ekologicznego nie chodzi o „czystą naturalność", a o ograniczenie wpływu sztucznych środków ochrony roślin na uprawy i farmakologii na hodowlę. W produktach ekologicznych czyli certyfikowanych (zgodnie z ustawą nie można używać określenia „ekologiczny" do produktów bez certyfikatu) bada się stan gleby i stosuje się tyle środków ochrony roślin, takiego rodzaju i w takich cyklach, na jakie pozwalają wytyczne odpowiedniego certyfikatu.

Weźmy jabłka. Jeśli sądzisz, że jabłka ekologiczne nie są pryskane... jesteś w błędzie. Jednak te z uprawy konwencjonalnej są pryskane kilkadziesiąt razy częściej. Trzeba też wiedzieć, że duża część środków ochrony roślin stosowanych w ekologii to preparaty naturalne, nawet tak naturalne, jak lebioda, którą obsadza się pola, aby przyciągała do siebie szkodniki, tym samym chroniąc pozostałe uprawy. Ekologiczne to może jeszcze nie naturalne, ale na pewno znacznie bliższe naturze niż konwencjonalna uprawa czy hodowla.

Kilka słów o cenie. W rolnictwie i hodowli ekologicznej czyli certyfikowanej płacimy za certyfikaty i kontrole, te zapowiedziane i niezapowiedziane, za specjalne nasiona, za specjalne środki ochrony i zwykle za większy wkład pracy fizycznej, bo po prostu więcej jest do zrobienia, jak choćby więcej pielenia. Cena odpowiada rzeczywistości, w przeciwieństwie do produktów konwencjonalnych, gdzie ceny są niskie. Za niskie?... Za ich ceną często kryje się ekstensywna gospodarka zasobami oraz zatrudnianie osób za zaniżone stawki i na warunkach uwłaczających godności ludzkiej.

Ekologiczne to może jeszcze nie naturalne, ale na pewno znacznie bliższe naturze niż konwencjonalna uprawa czy hodowla.

Podczas ostatniej konferencji w Davos występująca w jednym z paneli przedstawicielka Oxfam podała przykład robotnicy z zakładów drobiowych w USA, która musi stać przy taśmie w „pampersie", bo przerwy na toaletę są niedozwolone oraz przykład taksówkarza z Nairobi, który musi dzielić pokój z dwoma kolegami, a nawet spać na zmianę, bo nie stać go na wynajęcie pokoju tylko dla siebie. Podobne historie znamy przecież z własnego podwórka. Kurs za taksówkę

w Nairobi wynosił równowartość dwóch dolarów amerykańskich, prawie tyle co krótki kurs Uberem w Warszawie. Ile kosztują pakowane w folię udka kurczaka? W USA około 7 dolarów za kilo, u nas 7-8zł! Te ceny odbijają się na jakości życia ludzi. I tych, którzy te przykładowe udka (czy jabłka) dla nas przygotowują i tych, którzy je zjadają.

Co to ma wspólnego z ekologią? Otóż ma, bo poszanowanie środowiska nie może się odbywać bez poszanowania podstawowych praw człowieka, jak choćby prawa do pracy, do godnej pracy. To organizacja pracy właśnie w każdym jej aspekcie decyduje, czy produkt dostępny na półce jest ostatecznie dobrej jakości czy nie. Bo czyż nie idzie o jakość? Ekologia może i jest modnym słowem, ale w efekcie jest wołaniem o jakość.

Żywność to tylko jeden z aspektów ekologicznego stylu życia, który wciąż w wielu środowiskach wydaje się jedynie modny. A ten zielony znaczek to właściwie jedyny sposób, by zapewnić ludzi mieszkających w miastach, a dziś także i na wsi, że dostają produkt dobrej jakości, z jak najmniejszą możliwą ingerencją składników popularnie nazywanych „chemią" lub całkowicie jej pozbawiony. Jeśli ktoś ma dostęp do wiejskiego ogródka swojej cioci to jest szczęściarzem i niech korzysta, ale dla większości z nas los nie jest tak łaskawy i dla nas są certyfikaty ekologiczne. Że oszustwa? Tak, zdarzają się i trzeba je ścigać. Wciąż jednak nie na taką skalę, jak w produkcji konwencjonalnej, która na dodatek jest w stanie legalnie nas podtruwać przez lata. Dotyczy to też mieszkańców wsi, których spadek cen zbytu nakłonił do tego, by swoje gospodarstwa zamienili na agroturystykę rezygnując

z uprawy poza przydomowym ogródkiem oraz tych, którzy z rolników stali się „producentami żywności", najczęściej w systemie konwencjonalnej uprawy i hodowli. To znaczy, że najczęściej zajmują się monouprawą i hodowlą jednego gatunku zwierząt.

Drugim aspektem ekologicznego stylu życia na co dzień jest segregacja śmieci. „Po co segregować skoro i tak przyjeżdża ciężarówka i zabiera wszystko zsypane razem?" Ponieważ wciąż nie jestem pewna, czy wszyscy to wiedzą, chętnie przypomnę: to jest normalne! O to właśnie chodzi! Nie mam też do nikogo pretensji, jeśli wciąż tego nie wie, bo niestety, znowu, stawiając kolorowe kontenery pod domami nikt nam tego nie tłumaczył, do którego wrzucać konkretny rodzaj odpadów. Miałam kiedyś szansę zadać to pytanie w Biurze Ochrony Środowiska miejskiego Ratusza w Warszawie. Otóż posegregowane śmieci – przez jednych lepiej, przez innych gorzej – wrzucone do odpowiednich kontenerów w śmietniku trafiają do jednej śmieciarki i jadą prosto do sortowni, gdzie nazywa się je „czystymi śmieciami". Tam lądują najpierw na taśmie naszpikowanej czujnikami, a potem w rękach pracowników, którzy je fachowo sortują.

Po co więc robić to w domu? Właśnie po to, by osiągnąć wstępnie oczyszczone śmieci, by kartony nie nasiąkały wilgocią, a masło nie brudziło wszystkiego wokół. Im lepiej posortowane przez nas śmieci, tym czystsze w sortowni i tym więcej z nich nada się do ponownego przetworzenia czyli recyklingu. Jednak recyklingowi podlega zaledwie 14% światowej produkcji plastiku. Wiele krajów wykorzystuje plastik do wytworzenia energii i to się udaje w kontrolowanych przemysłowych warunkach. U nas na razie w małym stopniu.

Problem z plastikiem dotarł do powszechnej świadomości, dzięki zdjęciom śmieciowej wyspy pływającej po oceanie, której wielkość przekroczyła już powierzchnię Francji, a zahaczającej gdzieniegdzie o wybrzeża wakacyjnych rajów. Zresztą zwały plastiku również są widoczne na plażach po sztormie na Bałtyku. Opublikowano wyniki badań naukowych prof. Sherri Mason z Uniwersytety Stanu Nowy Jork, z których wynika, że sól morska zawiera drobinki plastiku, nie wspominając o rybach i owocach morza. Podobno najgroźniejsze dla życia w oceanie są wykonane z niego mikro-kuleczki z płynem w środku, które znajdują się, w jakże wygodnych i powszechnie stosowanych, wilgotnych chusteczkach jednorazowych. Co więcej, plastik znaleziono także w odchodach ludzkich mieszkańców krajów europejskich, w tym Polski (Uniwersytet Medyczny w Wiedniu).

Recyklingowi podlega zaledwie 14% światowej produkcji plastiku.

Okazało się też, że naszych problemów nie rozwiąże także ekologiczny plastik uzyskiwany np. z kukurydzy, bo przy jego produkcji emituje się dwa razy więcej CO_2 niż przy produkcji tradycyjnego. Naukowcy i technolodzy szukają rozwiązań, ale my musimy się ratować. Groźna jest dla nas wszelka jednorazowość. W tym zawiera się cała filozofia tego, co tak dobrze znamy, a z czego czas zrezygnować. Jest to konieczne, by nie popełnić zbiorowego samobójstwa.

Trochę smutne jest to, że Europa jest tak zapóźniona pod względem niektórych zachowań ekologicznych, i to także względem krajów, które nazywa „trzecim światem". Ponad dwadzieścia lat temu widziałam, jak w Południowej Afryce na targach sprzedawano niemal wszystko, od kolczyków po meble, wykonane z puszek po napojach, z plastikowych butelek i oczywiście z opon. Innowatorzy z *townshipów* dawali jednorazówkom kilka, czasem kilkadziesiąt, a może i kilkaset kolejnych żyć. Bangladesz z kolei zabronił używania cienkich torebek foliowych już w 2002 roku.

Co możemy zrobić nie oglądając się na decyzje aparatu państwowego? To my jesteśmy konsumentami i wraz z setkami, a nawet tysiącami milionów ludzi na świecie decydujemy, po co sięgamy w sklepie. To my, poprzez decyzje konsumenckie i każdorazowe wybory, kształtujemy rynek. Podejmujemy decyzje – jako jednostki, ale i jako wspólnoty. W tym właśnie momencie – i to bardziej zdecydowanie i realnie niż przy urnie wyborczej – mówimy, czy popieramy zieloną energię czy smog, czy pracę ekologicznego rolnika, czy faszerowanie zwierząt antybiotykami, które potem sami zjadamy. Sami przecież decydujemy, ile „produkujemy" śmieci, ile plastikowych kubeczków po jogurtach i torebek dosypiemy do oceanu. Wybieramy w sposób wolny, jednocześnie każdorazowo – nawet jeśli nie zawsze świadomie – ponosząc konsekwencje naszych decyzji, a także przenosząc je na innych. Pytanie jak społeczeństwom przyzwyczajonym do masowej konsumpcji, diety pudełkowej, jednorazowych kubków czy cotygodniowych dużych zakupów przedstawić wizję, w której ograniczanie się jest cnotą i jednocześnie nie przyczepić sobie etykietki „zielonego dziwaka"? ◉

To my, poprzez decyzje konsumenckie i każdorazowe wybory, kształtujemy rynek. Podejmujemy decyzje – jako jednostki, ale i jako wspólnoty.

KATARZYNA RATAJCZYK

Specjalistka od komunikacji. Autorka książki "Niezniszczalne. Prawdziwe opowieści przedsiębiorczych kobiet czyli czego uczy nas porażka" (2015). Związana z branżą żywności ekologicznej. Współpracuje z organizacją GAP POLSKA odpowiedzialną za program edukacyjny Badacz Wody. Coach z certyfikatem International Coach Federation.

PIOTR GAJDA

WIELKI SEN

Stworzony, stwarzany, a może stwarzający, co rusz
popada w niebyt razem z wszelkim śmieciem świata;
z nędzą, przędzą garniturów za grubą forsę, z plastykową
kartą czyniącą szczodrymi sezamy banków i ich bękartów,

w liczbie mnogiej roztrwoniony w rozwodnionej krwi,
bez dostępu do profitu rozdzielanego na produkcyjnej linii,
która przypomina chłostę. A jeśli łaknie? Jego głód jest lekki,
to głód zamorzonej na śmierć wiary, to cichy jęk biczowanego

publicznie, z którego odpada tkanka, gdy spływa po siatce
płac w plamę debetu na poduszce, gdzie położył swoją ciężką
głowę, tworząc w ten sposób makatkę dedykowaną ludowi,

który spożywa chleb i od święta mięso bliźniego,
obleczony w kłamliwą sentencję mas (z wybujałą nadwagą,
lecz zziębniętych od utraty duszy), co brzmi niby wieczność:

„jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz".

Piotr Gajda (ur. 1966) jest poetą. Dotychczas opublikował pięć książek poetyckich, ostatnio *To bruk* (Łódź 2018). Laureat Nagrody Otoczaka (2014), Stypendysta ZAiKS-u (2016). Współpracuje z łódzkimi „Arteriami", prowadzi blog Hotel. Mieszka w Tomaszowie Mazowieckim.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.
Prowadzi Rafał Gawin

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:
Leszek Jażdżewski

Z-ca redaktora naczelnego:
Magdalena M. Baran

Zespół *Liberté!*:
Piotr Augustyniak
Piotr Beniuszys
Marcin Celiński
Sławomir Drelich
Marcin Frenkel
Daria Hejwosz-Gromkowska
Krzysztof Iszkowski
Sławomir Kalinowski
Tomasz Kamiński
Tomasz Kasprowicz
Joanna Łopat
Alicja Myśliwiec
Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia i współpraca zagraniczna:
Olga Łabendowicz

Koordynacja liberte.pl
Marek Lewoc

Promocja i kontakt z czytelnikami:
Agnieszka Kożańska
redakcja@liberte.pl

Koordynacja 6. dzielnicy
Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:
2x3 Studio Kreatywne

Zdjęcie na okładce:
Grzegorz Przęczek,
Montevideo (Urugwaj)

Ilustracje:
Olga Łabendowicz
Marek Lewoc (str. 42)

WYDAWCA:

Fundacja *Liberté!*
ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:
Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu
Leszek Jażdżewski

Sekretarz Zarządu:
Kamil Janiszewski

Członkowie Zarządu:
Filip Miłoszewski
Rafał Szkudlarek

ISSN: 2080-4326